MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 13. WARSZAWA, 25 MARCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

ISTOTA NIEPODLEGŁOŚCI NARODOWEJ

ISTOTA tego pojęcia. Każdy naród posiada swój kraj ojczysty, będący zazwyczaj dla niego jego kolebką historyczną. Do tego kraju, jako do swojej kolebki dziejowej, naród taki posiada przyrodzone prawo zwierzchnictwa, czyli przyrodzone prawo gospodarza. Możność sprawowania przez naród w swoim kraju ojczystym swego zwierzchnictwa narodowego, czyli możność wykonywania przez naród swoich przyrodzonych praw gospodarza w swoim kraju ojczystym stanowi istotę niepodległości narodowej.

Naród, który nie posiada tej możności, czyli który uległ na rzecz innego narodu ograniczeniom tych swoich przyrodzonych praw rozwijania wszystkich dziedzin swojego życia, według własnych chęci i własnych potrzeb, a więc w zgodzie ze swojem własnem dobrem, staje się narodem podbitym, zależnym, podległym, jakkolwiek oficjalnie może on być uważany, jako korzystający z niepodległości.

Trzy dziedziny życia narodowego. Życie zbiorowe można podzielić na trzy główne sfery działań: gospodarczą, kulturalną i polityczną. Pierwsza dotyczy bytu materjalnego danego narodu. Czynności z nią związane warunkują przedewszystkiem samo fizyczne istnienie tego narodu. Druga dotyczy bytu duchowego danego narodu. Czynności z nią związane warunkują jego rozwój duchowy — jego zbiorową duszę, jego zbiorowy rozum, jego zbiorowe uczucie. Już z powyższego określania wynika, że dziedzina kultury obejmuje sferę religji. Dziedzina polityczna dotyczy form organizacyjnych dla tej siły, która tkwi w każdym narodzie i która ma za zadanie kierować na danym obszarze sprawami danego narodu w imię jego największego dobra. Czynności z nią związane warunkują zbiorową wolę danego narodu, jego zbiorową prężność.

Te wszystkie dziedziny, jak wynika z powyższego, muszą stanowić w życiu narodowem jedną całość. One muszą wzajemnie dopełniać się, te sfery działań muszą wzajemnie uzgadniać się w imię największego dobra tego narodu i im lepiej owo uzgodnienie jest osiągnięte, tem pełniejsze jest życie narodu, tem jest on silniejszy i odporniejszy na obce wpływy, czyli tem pełniejsza jest jego wolność. Narodem niepodległym może być tylko naród całkowicie wolny i nieskrępowany pod względem swego zwierzchnictwa.

Na niepodległość tedy każdego narodu składa się nienaruszone jego zwierzchnictwo w jego kraju ojczystym w dziedzinach: gospodarczej, kulturalnej i politycznej. Aby ułatwić zorjentowanie się, kiedy następuje zatracenie przez naród niepodległości, trzeba uprzytomnić sobie, na czem polega zwierzchnictwo narodowe w każdej z tych trzech dziedzin z osobna.

A. Zwierzchnictwo narodowe w dziedzinie gospodarczej.

Jego treść. Zwierzchnictwo narodu, czyli jego prawo gospodarza w dziedzinie gospodarczej polega na prawie tego narodu nadawania, w swoim kraju ojczystym, swemu życiu w tej dziedzinie takiego układu, który reguluje się chęciami i potrzebami swego narodu, czyli który reguluje się zasadą jego dobra. Układ reguluje się zasadą dobrą swego narodu wówczas, gdy członkowie narodu wypełniają sami wszystkie czynności gospodarcze, czyli gdy na jego życie ekonomiczne w jego kraju nie wywierają wpływu, z uszczerbkiem dla niego, członkowie innego narodu, obcego mu pochodzeniem i kulturą, a zwłaszcza tacy, którzy z tych albo innych powodów przeniknięci są wrogiemi wobec danego narodu zamiarami.

Pięć czynności tej dziedziny. Dziedzinę życia gospodarczego doby obecnej można rozłożyć na 5 podstawowych funkcyj, jako składowych części tego życia, mianowicie na: 1) spożycie, 2) wytwórczość, 3) pośrednictwo w wymianie dóbr względnie usług, 4) ustalanie wartości, a pośrednio i ceny, oraz odwrotnie, wszelkich wzajemnych usług przy pomocy środka płatniczego, czyli

pieniądza, 5) regulowanie obiegu pieniężnego (budowa pieniądza; działalność zbiorników pieniężnych, czyli banków; działalność związana z rozdziałem pieniędzy na cele społeczne, czyli działalność kredytowa).

Jeżeli zatem na te wszystkie funkcje życia gospodarczego składa się działalność członków samego narodu i tylko ten naród ma wyłączny wpływ na zakres i kierunek poszczególnych czynności tego życia w swoim kraju, wówczas, rzec można, dobro danego narodu jest w tej dziedzinie zabezpieczone w całej pełni. Kiedy jednakże możności takiego wpływu niema, interes danego narodu jest naruszony i to w tem większej mierze, w im wyższym stopniu żywioł rdzenny zostaje odsunięty od wpływu na zakres i kierunek tych poszczególnych funkcyj swojego życia ekonomicznego.

Każda taka czynność gospodarcza, dlatego, że jest „swoja“, zawiera nietylko rodzimy swój zespół osobowy, lecz i rodzimą, swoją treść. Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają wchodzić w szczegóły treści każdej z tych czynności. Ale staje się zrozumiałe, że jeżeli członkowie danego narodu, zainteresowani w rozwoju swego społeczeństwa, wpływają na zakres i kierunek tych poszczególnych funkcyj życia swego narodu, to funkcje te muszą mieć treść pożyteczną dla niego, czyli muszą mieć treść narodową, która zabezpiecza w ten sposób jego podstawy materjalne, stanowiące wszak istotny warunek wolności, niepodległości. Powodowanie się przez naród w swojej działalności gospodarczej powyższemi założeniami wskazuje, że jego postępowanie w tej dziedzinie opiera się na zasadach swojej, a nie obcej ekonomji i że tylko wówczas można mówić o stosowaniu narodowej gospodarki. Powodowanie się takiemi zasadami wyłącza, a w każdym razie sprowadza do *minimum* ten objaw, który polega na niezdolności szerokich mas do dalszego przystosowywania się do istniejącego układu stosunków gospodarczych, a który nosi nazwę kryzysu gospodarczego.

B. Zwierzchnictwo narodowe w dziedzinie kulturalnej.

Jego treść. Zwierzchnictwo narodu, czyli jego prawo gospodarza w dziedzinie kulturalnej polega na jego prawie wytwarzania i rozwijania w swoim kraju ojczystym swojego pokarmu duchowego, czyli swojej kultury w myśl własnych chęci i własnych potrzeb, czyli w myśl dobra swego narodu. Dobro danego narodu w tej dziedzinie jest wówczas zabezpieczone, kiedy jego członkowie wypełniają sami wszystkie funkcje kulturalne, czyli, gdy na jego życie kulturalne, wbrew jego chęci i jego woli, nie wywierają wpływu członkowie innego narodu, obcego mu pochodzeniem i kulturą, a zwłaszcza tacy, którzy są przeniknięci wrogiemi wobec tego narodu intencjami.

5 czynności kulturalnych. Dziedzinę życia kulturalnego można warunkowo rozłożyć na 5 głównych czynności, jako składowych części tego życia, mianowicie na: 1) wytwarzanie pierwotnych, podstawowych warunków, sprzyjających fizycznemu i duchowemu rozwojowi społeczeństwa (zdrowotność, obyczajność, kształcenie się i t. p.); 2) twórczość wybitnych jednostek; 3) ustalanie dla potrzeb szerokiego ogółu wartości takiej twórczości pod względem jej poziomu duchowego; 4) pośrednictwo między twórcami i szerokim ogółem; 5) posilkowanie się przez szeroki ogół twórczością duchową wybitnych jednostek, czyli spożywanie przez szerokie rzesze tej twórczości.

Jeżeli zatem na te wszystkie czynności życia kulturalnego składa się w każdym kraju działalność członków własnego społeczeństwa i tylko to społeczeństwo ma wpływ na zakres i kierunek poszczególnych funkcyj tego życia w swoim kraju ojczystym — wówczas, można rzec, dobro danego narodu jest w tej dziedzinie zabezpieczone w całej pełni. Kiedy jednak możności takiego wpływu niema, interes danego narodu jest naruszony i to w tym silniejszym stopniu, w im większej mierze żywioł rdzenny został odsunięty od wpływu na zakres i kierunek tych poszczególnych czynności swego życia kulturalnego. Zwierzchnictwo jakiegoś narodu w tej dziedzinie można przeto sprowadzić do 5 głównych składników tego prawa, mianowicie: 1) swoje instytuty wychowywania ludzi silnych duchowo i fizycznie, a więc nietylko szkolnictwo, lecz i instytucja rodziny, jako podstawowy element zdrowia duchowego i fizycznego; 2) swoja twórczość wybitnych jednostek (nauka, literatura, muzyka, malarstwo i t. d.); 3) swoja krytyka dzieł twórczości; 4) swoje pośrednictwo między twórcami i szerokim ogółem (prasa, spółki wydawnicze, kina, teatry, koncerty, radjo i t. p.); 5) swoje spożycie, a właściwie istotna możność spożywania przez szerokie masy tego narodu dzieł swojej twórczości.

Powodowanie się przez naród w swojej działalności kulturalnej powyższemi założeniami wskazuje, że jego postępowanie w tej dziedzinie opiera się na zasadach swojej, rodzimej, a nie obcej kultury, i wyłącza, a w każdym razie sprowadza do *minimum*, ten objaw, który polega na niezdolności szerokich mas do dalszego przystosowywania się do swego dotychczasowego pokarmu duchowego, a który nosi nazwę kryzysu kultury.

C. Zwierzchnictwo narodowe w dziedzinie politycznej.

Jego treść. Zwierzchnictwo narodu, czyli jego prawo gospodarza, w dziedzinie politycznej polega na prawie tego narodu do organizowania w swoim kraju tej siły, która tkwi w nim, jak w każdym narodzie, i która, mając za zadanie kierowanie na danym obszarze sprawami swojej ludności w interesie jej największego dobra, jest w stanie zmusić wszystkich do uległości wobec takich swoich zamierzeń.

Trzy składniki polityczne. Z powyższego określenia wynika, że zwierzchnictwo polityczne każdego narodu sprowadza się do 3 praw: 1) prawo posiadania swego kraju, a więc swojej ziemi, 2) prawo posiadania swojej, czyli rodzimej, a nie obcej, ludności i 3) prawo posiadania swojej, rodzimej, a nie obcej siły, inaczej władzy, która sprawuje rządy w tym kraju w zgodzie z dobrem tej rodzimej ludności. W miarę zmniejszania się zakresu tych zasadniczych praw jakiegoś narodu rdzennego na rzecz obcej ludności, zmniejsza się jego zwierzchnictwo polityczne, jakkolwiek nie u wszystkich istnieje pod tym względem dostateczna świadomość.

W istocie. Kiedy bowiem do jakiegoś kraju przenika obcy żywioł, bądź za wyraźną zgodą, bądź za cichą zgodą ludności rdzennej tego kraju, ta ostatnia zaczyna już odczuwać: a) obowiązek znoszenia tego obcego żywiołu pośród siebie, a więc z własną krzywdą; b) obowiązek znoszenia go na własnej ziemi, a więc również ze swoją krzywdą;

c) obowiązek znoszenia jego wymogów w zakresie sprawowanych przez siebie rządów w swoim kraju, a więc znów ze swoją krzywdą. Ten potrójny obowiązek ludności rdzennej jest właśnie ograniczeniem jej praw politycznych na rzecz obcego żywiołu, czyli jest jej od tego żywiołu uzależnieniem politycznem. Decydujące znaczenie w tej dziedzinie praw ma składnik „swoja władza“, bowiem od jej należytego zorganizowania i jej wykorzystania zależy, czy dany naród będzie mógł posiadać dwa pozostałe składniki tych praw — „swoją ziemię“ i „swoją ludność“.

„Swoja władza“ — jej istota. Ponieważ ten składnik ma decydujące znaczenie w tej dziedzinie, można ograniczyć się w danem miejscu na ustaleniu tylko jego istoty. Istota „swojej władzy” polega na dwu czynnikach: a) zespół osobowy jej organów jest swój, jest rodzimy, i to na wszystkich szczeblach, a nie jest obcy, nie z członków obcej, napływowej ludności składający się; b) treść musi być również swoja, rodzima, czyli taka, która składa się z czynów, mających na celu zabezpieczenie dążeń i potrzeb swego narodu we wszystkich dziedzinach jego życia, a więc nietylko politycznej, lecz również gospodarczej i kulturalnej. Tylko wówczas bowiem nie będzie tych warunków, które wpływają na to, że kraj ojczysty danego narodu zaczyna być zalewany przez obcy żywioł, a wobec tego zarówno ziemia, jak i ludność oraz władza przestają już być właściwie, rodzimemi a stają się obcemi, acz-kolwiek nie wszyscy z pośród ludności rdzennej, jak to wyżej podkreślano, zdają sobie dostatecznie sprawę z tego stanu rzeczy, pomimo że nie rzadko bywa on już katastrofalny dla danego narodu. Te ogólnikowo podane założenia rzucają, zdaje się, dosyć światła, aby zrozumieć, jak musi być zorganizowana władza danego narodu, aby on mógł prowadzić pożądaną dla siebie politykę.

Powodowanie się przez dany naród powyższemi założeniami w całem swojem życiu, czyli w swojej polityce w szerokiem znaczeniu tego pojęcia, wskazuje, że jego postępowanie opiera się na zasadach swojej, rodzimej, narodowej, a nie obcej polityki, i że tylko wówczas można mówić o stosowaniu właściwej polityki, jako tej, która go zabezpiecza przed utratą niepodległości. Powodowanie się takiemi zasadami wyłącza, a w każdym razie sprowadza do *minimum*, ten objaw, który polega na nieprzystosowaniu szerokich mas do swego dotychczasowego ustroju władz, czyli systemu rządów, zapowiada niebezpieczeństwo poważnych powikłań wewnętrznych, połączonych niekiedy z niebezpieczeństwem utraty niepodległości, a który nosi nazwę kryzysu politycznego.

A zatem naród, o ile chce korzystać ze swej niepodległości, musi powodować się w swojem życiu zasadami — narodowej gospodarki, narodowej kultury i narodowej polityki.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

USTRÓJ CZY — KONSTYTUCJA?

USTRÓJ państwa to nie jest konstytucja. Konstytucja w dzisiejszem pospolitem tego słowa znaczeniu jest tylko fragmentem ustroju państwowego. Konstytucja jest ustawą o sposobie powoływania najwyższych władz państwowych i zakresie ich działania.

Konstytucja, jako rodzaj prawa, odegrała swoją wielką rolę w historji i zakończyła ją. Znaczenie konstytucji polegało na tem, że było to pierwsze nowoczesne prawo publiczne. Jesteśmy wszyscy wychowani w nieodpowiadającem rzeczywistości podziale prawa na publiczne i prywatne. Podział na *ius publicum i ius privatum* powstał w Rzymie na tle rzymskich stosunków społecznych. Ustrój publiczny Rzymu był dwustopniowy: wewnątrz organizacji wyższego rzędu — państwa, były mniejsze organizacje — domy (familje). Ośrodkiem, jeżeli tak się można wyrazić, prawa publicznego było państwo, ośrodkiem prawa prywatnego — familja.

W średniowieczu właściwie istnieje tylko prawo prywatne. Ustrój opiera się na szeregu ogniw pośrednich między jednostką a państwem. Władza państwowa jest teoretycznie wszechwładna, praktycznie trwale skrępowana wydanemi przez siebie przywilejami. Ośrodkiem prawa jest z jednej strony państwo, z drugiej są osoby lub zespoły obdarzone przywilejem. To też jeżeli wogóle można mówić w średniowieczu o prawie prywatnem, w przeciwstawieniu do publicznego, to prawem prywatnem byłyby raczej uprawnienia zawarte w przywilejach, publicznem — wszystko, co podlega nieskrępowanej woli władcy.

Renesans prawa rzymskiego przywraca znaczenie podziału prawa na publiczne i prywatne, ale te pojęcia niebardzo dają się zastosować, dopóki istnieje na przywileju oparty ustrój stanowy. Ustrój ten zostaje zniszczony. I wówczas zjawia się konstytucja. Rozszerza ona stopniowo przywilej na ogół ludności i na ogół spraw, a tem samem znosi go. Jednocześnie rozbija się wszelkie związki społeczne poza państwem. Współczesne prawo uznaje tylko jednostkę i państwo, jako istotne podmioty prawne.

Właściwie dziś prawo prywatne przestaje istnieć. Niema innego ośrodka prawa prócz państwa. Niema takiego uprawnienia jednostki, któreby nie mogło być zmienione przez państwo. Współczesna władza nie jest skrępowana wydanemi przez siebie uprawnieniami. Może je zmienić w każdej chwili drogą uchwały ciał ustawodawczych, czy wykorzystania pełnomocnictw.

Konstytucja przestała też być czemś odrębnem, a jest tylko ustawą o organizacji władz najwyższych, częścią jednolitego prawa ogólnego. Ustrój państwowy jest czemś znacznie szerszem. Nie można go określić nawet jeko ogółu norm prawa publicznego, ponieważ wszystko jest właściwie dziś prawem publicznem. Zresztą z punktu widzenia narodowego nie można ograniczać pojęcia ustroju państwa do formalnie dziś za takie uznanego, prawa publicznego. Jeżeli uważamy, że państwo jest formą prawną narodu, to ustrój państwowy jest ogółem norm prawnych, kształtujących życie narodu, a więc ogółem norm prawnych wogóle. Również cały podział prawa na publiczne i prywatne ulec powinien z punktu widzenia narodowego, ponownemu rozpatrzeniu.

Ustrój prawny posiada trzy działy zasadnicze z punktu widzenia państwa. Pierwszy dział, to ustrój społeczno-gospodarczy. Obejmuje on właściwie wszelkie związki społeczne poza państwem (z wyjątkiem ściśle religijnych) oraz wszelkie sprawy

związane z wytwórczością. Pozostałe dwa działy, to ustrój polityczny i ustrój administracyjny. Rozróżnienie tych dwóch działów jest konieczne, gdyż inaczej trudno zrozumieć zjawisko, które nazywa się kryzysem demokracji.

Ustrój administracyjny jest to ustrój władz, więc to właśnie, co zawiera konstytucja i oparte na niej ustawy o poszczególnych organach państwowych. Ustrój polityczny obejmuje zagadnienie, jak powstaje władza. W średniowieczu przedstawiał się on dosyć prosto. Władza powstawała drogą dziedziczenia korony.

W ustroju epoki konstytucyjnej, albo jak kto woli „demoliberalnej”, pozornie panowała fikcja, że władza powstaje z woli wyborców. Potocznie uważało się, że władzę tworzą partje, albo ściślej: przywódcy partyjni. Prawnie ustrój polityczny nie był unormowany, ale istniała niepisana zasada, że władzę tworzą organizacje tajne, czyli właśnie owi „przywódcy partyjni”. Istotą ustroju konstytucyjnego było to, że był to ustrój oparty na władzy organizacyj tajnych i bez nich nie do pomyślenia. Kryzys demokracji, to nie kryzys form tylko, nie kryzys głosowania powszechnego i wszechwładzy parlamentu, które były zawsze tylko fasadą, ale przedewszystkiem kryzys organizacyj tajnych i równowagi, opartej na konkurencji i wzajemnem przenikaniu się tych związków.

Istotą nowości, jaką wniosły ustroje powojenne (bolszewizm, faszyzm, hitleryzm) jest przeniesienie punktu ciężkości ustroju politycznego z organizacji tajnej na jawną. Zniesienie „demokracji parlamentarnej“ dawnego typu jest już tylko tego faktu zasadniczego konsekwencją.

Cechą, która, mimo pozorów zewnętrznych, każe nam zaliczyć obecny ustrój Polski do świata mijającego typu, jest to, że ani dotąd, ani w nowej konstytucji nie zmienia się ustrój polityczny, nie przenosi się punkt ciężkości na jawną organizację polityczną.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

ANALOGJE PRZEŁOMOWE

I

NALEŻĘ do tych, co chociaż cały prawie okres wielkiej wojny spędzili i angażowali się w sprawie Ententy, nie widzieli jednak ostatecznych triumfów aljanckich: Wersalu, przejścia pod Łukiem na placu „de l'Etoile“, czy Strasburga. 28 czerwca 1919 obchodziłem bowiem święto zwycięstwa na Wschodzie, w kościele mianowicie metropolitalnym św. Dymitra Bessarabskiego w Bukareszcie.

Więc kiedy metropolita Pimen odprawiał swoje modły dziękczynne, ja, stojąc przy boku zmarłego później tragicznie szefa mojego, ś. p. Aleksandra Skrzyńskiego, w tłumie szamerowanych złotem i wyorderowanych mundurów dyplomatycznych, myślałem o innej dacie, której właśnie dnia tego wypadała rocznica, o innym soborze, w którym przed pięciu zaledwie laty jawił się był tragiczny arcyksiążę, o Serajewie.

Wszak my tutaj, nad Dambowicą, obchodziliśmy wielki dzień „*rayów*“ rumuńskich, wyzwolonych ostatecznie z wszelakiej niewoli, a był to tenże sam dzień świętego Wita, w którym Serb sąsiedni wielbił właśnie Kosowo, wszyscy zaś inni „*rayowie*“, przez okres długich stuleci, z czcią powtarzali żałosne miano wielkiego cara Łazarza.

II

Minęło tymczasem lat piętnaście. I jak sto piętnaście lat wprzódy, jeden cesarz umierał tymczasem w Afryce, jak niegdyś Napoleon, drugi zaś i właściwy w wielkiej wojnie „*Ersatz*“ Napoleona rąbał wprawdzie swobodnie drzewo w Holandji, ale, jak tamten, przeżył w Doorn swoje „*Ersatz*“ — Fontainebleau, żegnając się z Mackensenem, jak tamten z Cambronnem.

Sto piętnaście temu lat w Europie rej wodziła bowiem Anglja. Wiedeń był więcej jeszcze „*pax Britannica*“, niż Wersal; Wellington grał wśród ówczesnych aljantów rolę Focha; dla antagonisty było na poczekaniu Longwood, fregata „*La Belle Poule*“, sir Hudson Lowe; Aleksander, Schwarzenberg czy Blücher grali, przy starym „diuku“, role Albertów, Haigów czy też Diazów. I wkrótce po kongresie, z Anglji, jak po Wersalu z Ameryki, jęły napływać na nasz kontynent wszelakie „nowinki“ liberalno-parlamentarne: i trzeba wziąć znowu do ręki pamiętniki naszego starego Popiela, by zobaczyć, jak Warszawa czy Kraków interesowały się wtedy Izbą Gmin, Izbą Lordów i ich *bill*'ami, jak się nawet jeździło stąd nad Tamizę gwoli lepszego studjowania brytyjskich zagadnień ustrojowych.

III

Ale po stu latach obróciła się naprawdę oś Europy. Kto tam z nas pyta się znów zanadto o to, co myśli wyrachowany lord Stanley Baldwin lub kogo słucha się pastorski sir Ramsay Mac Donald (żywiej już od nich interesują nas ci z ich partnerów, co są tak bliscy krwią mniejszej części naszych współobywateli: owe Melchetty, Readingi, Montagu, Samuele...) W czwartym bowiem roku nowej ery hasło otrąbił kto inny: herold mającej być odrodzoną wielkości starorzymskiej, którego miano wyryte już jest na Kapitolu. Czy z owym 30 października zaczęła się istotnie nowa era w dziejach świata?

IV

W okolicach więc piątego roku powojennego, jak i wtedy; przed studziesięcioleciem, zaczął się nowy okres przewrotów rewolucyjnych. Teraz więc, jak i wtedy, wstrząsnęła się Hiszpanja „*pronunciamentem*“ Prima, jak wtedy Espartera.

Ale chmury „rewolucji narodowej“ zagęszczać się poczęły na horyzoncie europejskim na dobre dopiero w końcu powojennego piętnastolecia, całkiem jak wtedy. Tylko że wtedy najbardziej naładowana elektrycznością była Francja, kraj pobity i rozczarowany klęską Napoleona, kiedy obecnie hasło ostateczne do przewrotów wyszło z Berlina, z narodu pobitego i rozczarowanego klęską Hohenzollernów.

Ruchom zaś tym i odruchom aktualnym i przedstuletnim opierały się, tam i tu, imponujące zespo-

ły: przed stuleciem „Święte Przymierze“ królów, jak dzisiaj wysoka „Liga Narodów”. Do złudzenia podobna zaś już była prewencyjna technika ciał tych obu, tych obu straży pożarnych, zapobiegających nowej pożodze europejskiej: Spa i Cannes, Genua i Lozanna, Genewa i Locerno miały przed stuleciem odpowiedniki swoje w przeróżnych kongresach monarchów i ministrów: w Akwizgranie czy Weronie, w Lublanie czy Karlsbadzie...

V

Czytamy w prasie paryskiej ostatnich dni:

„Wszystko nam jedno, że pan Leon Blum zjadł sobie obiad w pewnej „gastronomji“ lewobrzeżnej z księżną Bibesco; ucierpiała na tej agapie conajwyżej autorka „*Catherine-Paris*“. Szkoda tylko, że uczta ta odbyła się właśnie w dniu 6 lutego, właśnie w momencie, kiedy na placu Zgody mordowano bohaterów wielkiej wojny...

Panie z towarzystwa, te właśnie, co w ciągu lat ostatnich, przez snobizm, przez chęć popisywania się nowoczesnością, uprawiały propagandę bolszewizmu salonowego, służyły, we wspaniałych swoich hotelach, pomiędzy szpalerem kamerdynerów, hasłom rewolucji socjalnej, wydzierały sobie Daladierów, Mistlerów, Leonów Blumów i Vaillant-Couturierów, finansowały przeglądy i dzienniki wywrotowe, zaczynają mieć „pietra“...

Nazajutrz bowiem po rzezi 6 lutego i zapewne w celu uczczenia „młodotureckich“ swoich przyjaciół, odbyło się u margrabiny de Crussol, a na pohybel najbardziej elementarnej przyzwoitości, wielkie śniadanie w doskonałej restauracji *Sébillon* przy ulicy de Long-champ.

Tego jednakowoż samego dnia śniadał tam samotnie znakomity marynarz, a niegdyś lotnik wojenny, wicehrabia de Pierrefeu. I, siedząc przy drzwiach, cofnął Pierrefeu rękę przechodzącym koło niego zaproszonym margrabiny, a więc hrabinie de Castries, kapitanowi fregaty de Prévost, naszemu „*attaché*“ morskiemu w Berlinie i jego żonie, pięknej Blandynie.

A kiedy weszła nakoniec i sama margrabina, zerwał się wicehrabia i, jej także odmawiając ręki przemówił tak do niej na cały głos: „Nie tu jest miejsce pani, pani margrabino, niechże pani to nareszcie zrozumie, schowa się pod ziemię, zamknie się w domu, żeby ludzie o pani zapomnieli“.

Margrabina stanęła w ponsach i schroniła się na łono swoich przyjaciół, z których żaden nie ośmielił się wysnuć z incydentu konsekwencyj...“

Cóż na to rodzime nasze „cnotki“, rywalki przedstuletnich Germaine de Staël i Juliette de Récamier, zaśmiecające, z uporczywością godną świętszej sprawy, stoły swoich salonów kompletami „Wiadomości literackich“, wymyślające „narodowcom“ i oscylujące, nad podziw i wiarę, między propagandą świadomego chrześcijaństwa, a „świadomego macierzyństwa“?

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

DE VALERA

IMIĘ obecnego premjera irlandzkiego, De Valery znane jest wszystkim czytelnikom w Europie. Jest to doprawdy jedynie imię, które na myśl o polityce Irlandji powojennej powstaje w pamięci czytelnika. Zaden inny z polityków irlandzkich nie pozyskał tej popularności. Z tem wszystkiem De Valera jest pod wielu względami postacią zagadkową. Jak dalece zagadkową, dowodzi choćby to, że nawet silącym się na skrupulatność biografom nie jest dobrze znane pochodzenie tej wybitnej w polityce postaci. Nie słychać wprawdzie już rozpowszechnianych zaraz po objęciu rządów przez De Valerę pogłosek, że ojcem jego był żyd hiszpański. Podobnież nie słyszeliśmy już od jakiegoś czasu doniesień, że Hitler jest z pochodzenia żydem...

Ostatecznie głównem źródłem wiadomości pod tym względem pozostaje dla biografów De Valery książka Dawida Dwane, którą za miarodajną przyjmuje także ostatni biograf De Valery, Denis Gwynn. Otóż według tego źródła ojcem polityka był Vivian De Valera, który jako młody muzyk w poszukiwaniu zarobku przesiedlił się z Hiszpanji do Ameryki i tam ożenił się z Irlandką, Katarzyną Coll. Ojcem Viviana zaś był rzekomo rodowity Hiszpan, — Bask, który w wojsku dosłużył się wyższego stopnia. Wnuk wojskowego, a obecny premjer irlandzki urodził się w Nowym Yorku dnia 14 października 1882 roku. Na chrzcie otrzymał imię Edward, czyli po irlandzku Eamon.

Tak więc mały Eamon urodził się obywatelem amerykańskim. Wcześnie, bo już w r. 1884 odumarł go ojciec. Odtąd, pod opieką wuja, sierota wychowywał się na prowincji irlandzkiej, w hrabstwie Limerick. Matka pozostała w Ameryce. Ubogiej rodziny farmerów nie stać było na danie wychowankowi kosztownej edukacji. Jednakże zdolności chłopaka pozwoliły mu nietylko chlubnie przejść przez szkoły przy pomocy stypendjów, lecz również pomyślnie szybko skończyć studja na uniwersytecie, gdzie jednak musiał się kontentować tylko niższym stopniem naukowym. W dalszych studjach przeszkodziła mu praca zarobkowa: objął mianowicie obowiązki profesora matematyki w seminarjum nauczycielskiem, aczkolwiek przez krótki czas prowadził także wykłady zastępcze matematyki w Narodowym Uniwersytecie Irlandzkim w Dublinie. Aż do wybuchu wojny w r. 1914 nie dał się poznać krajowi z działalności publicznej. Był już zato ojcem kilkorga dzieci, z czasem miał ich mieć aż sześcioro. Języka irlandzkiego nauczył się głównie od żony, którą poznał na kursach, mających właśnie na celu rozpowszechnie tego ginącego języka. W roku 1914 miał lat 32. Imię jego stało się nagle głośne w dwa lata później, w roku 1916, kiedy nieoczekiwanie dla opinji kraju, w Dublinie, w pierwszy dzień Wielkiej Nocy wybuchło skierowane przeciw Anglji powstanie.

Dzięki urlopom świątecznym Dublin był prawie ogołocony z wojska. Przywódcy powstańców ze swemi oddziałkami opierali się wojskom angielskim aż tydzień. Ostatni ze wszystkich poddał się De Valera, który też ujawnił największe zdolności dowódcy i strategika. W jednej chwili, ze znanego tylko nielicznym studentom wykładowcy, stał się prawdziwym bohaterem narodowym, i on jeden też tylko ze wszystkich przywódców powstańczych wyszedł cało. Wszyscy inni nadłożyli głową. W pierw-

szych dniach maja 1916 roku straceni zostali wszyscy podpisani pod odezwą rewolucyjną wodzowie powstania: Clarke, Pearse, Mac-Donagh, Plunkett, Kent, Mac-Dermott i Conolly. Ocalenie zawdzięczał De Valera swemu obywatelstwu amerykańskiemu. Nie zawisł na szubienicy. Razem z wielu swymi podkomendnymi znalazł się w więzieniu w Dartmoor, a następnie w Lewes. Z tytułu swej godności dowódcy powstańczego objął niezwłocznie zwierzchnictwo nad więźniami, którzy bez wahania poddali się jego autorytetowi. Pomyślnie przeprowadzoną głodówką wywalczył dla swych towarzyszy lepsze traktowanie u władz więziennych. Właśnie miał się rozpocząć jeden z serji owych strajków głodowych, kiedy dnia 15 czerwca 1918 roku. Lloyd George, działając pod presją opinji amerykańskiej, nakazał zwolnić z więzienia wszystkich uczestników powstania wielkanocnego w Dublinie. Natychmiast po powrocie wystąpił po raz pierwszy De Valera w jawnej akcji politycznej, mianowicie przy najbliższej nadarzającej się okazji stanął jako kandydat w wyborach uzupełniających do parlamentu, zwyciężył w walce wyborczej i został posłem, a zarazem prezesem nacjonalistycznej irlandzkiej organizacji *Sinn Fein*'u.

Kwestją doniosłego, znaczenia praktycznego, którą musiał w sumieniu rozstrzygnąć, była kwestja przynależności do tajnego stowarzyszenia nacjonalistów irlandzkich, *Irish Republican Brotherhood*. Wprawdzie stał się jej zaprzysiężonym członkiem jeszcze w 1916 roku, obecnie jednak z uwagi na skrupuły natury religijnej stanowczo odmówił ponownego związania się z rzeczoną tajną organizacją. Wszelkie namowy nie mogły w tym względzie nic wskórać. Przestawszy być jej członkiem, współdziałał z nią dalej jaknajściślej, za prawą swą rękę mając Michała Collinsa, działacza niezrównanej pomysłowości i odwagi, który w przyszłości miał wybić się nad wszystkich innych bohaterów walki konspiracyjnej i zbrojnej o niepodległość Irlandji.

Nie skończyła się jeszcze Wielka Wojna, a już ruch niepodległościowy irlandzki wezbrał ponownie na sile. Collins, który stał na czele wywiadu konspiracyjnego, ostrzegł w porę De Valerę, że nastąpią nowe aresztowania wśród przywódców *Sinn Fein*'u. Istotnie, w maju 1918 roku De Valera, który nie zachował należytej ostrożności, został aresztowany, a wraz z nim około 80 innych. Z Irlandji aresztowani przewiezieni zostali do odległego więzienia w prastarem mieście Lincoln w Anglji wschodniej. Uprowadzenie ich z murów więziennych było istnem arcydziełem pomysłowości Collinsa. Parokrotnie udało się De Valerze przesłać swym przyjaciołom politycznym odcisk kluczy więziennych odbity w wosku świecy kościelnej i kilka razy *Sinn Fein*'iści przesyłali więźniowi w prezencie ciasta, w których mieściły się odpowiednio dorobione egzemplarze kluczy. Dopiero jednak po kilku próbach podróbka udała się dobrze. O umówionej godzinie Collins z paru towarzyszami czekał na De Valerę pod murem więziennym. Trzebaż było pecha, że klucz, którym Collins próbował otworzyć zamek, złamał się. Szczęście nie opuściło jednak De Valery. Własnym dorobionym kluczem nietylko wypchnął kawałek odłamka, lecz także otworzył bramę i złączywszy się z Collinsem, uszedł na wolność.

Nie potrzebował jednak długo się ukrywać. Pod presją opinji publicznej, tym razem irlandzkiej, władze angielskie raz jeszcze zdecydowały się uwolnić politycznych więźniów irlandzkich. De Valera wrócił do ojczyzny jako premjer samozwańczego irlandzkiego gabinetu, wyłonionego przez wybranych w ostatnich wyborach posłów irlandzkich, którzy zamiast zasiąść w Westminsterze, obradowali we własnem gronie w charakterze sejmu irlandzkiego. Najwybitniejsi z kolegów De Valery byli, Artur Griffith, od wielu lat wybitny ideolog irlandzkiego ruchu niepodległościowego, minister spraw wewnętrznych; Cathal Brugha, naczelnik sił zbrojnych, Michał Collins, minister skarbu i Cosgrave, który objął sprawy samorządu i niebawem w wielkiej mierze przyczynił się do sparaliżowania administracji angielskiej w Irlandji. „Rząd" bowiem irlandzki w powyższym składzie uchwalił prowadzenie dalszej walki czynnej o niepodległość Irlandji. Dzięki zadziwiającej umiejętności Collinsa w konspirowaniu zebrań, „rząd" ów mógł działać skutecznie i wywierać wpływ na opinję publiczną, u której znalazł duży posłuch.

Rozpoczął się najcięższy okres w powojennej historji Irlandji. W sposób ironiczny zbiegło się to z najgłośniejszemi w tym czasie oświadczeniami o samostawieniu narodów podczas konferencji pokojowej w Wersalu. Stawiła się tam wprawdzie i delegacja irlandzka, nie zdołała jednak pozyskać dla swych żądań prezydenta Wilsona, po trudnem wyjednaniu u niego audjencji. Wtedy właśnie De Valera, jako naczelnik rządu, zaskoczył swych kolegów niespodziewaną decyzją. Za najważniejsze zadanie chwili uznał zgromadzenie środków finansowych i propagandę wśród rodaków irlandzkich w Ameryce. W najniebezpieczniejszym więc i najgorętszym czasie opuszczał ojczyznę. Bardzo zręcznie znowu przemycił go do Stanów Zjednoczonych Michał Collins, na którego odtąd spaść miał główny ciężar heroicznych trudów w walce ze zbrojnemi siłami angielskiemi.

Jak wiadomo, Anglicy w owym krytycznym czasie zdecydowali się na pacyfikację Irlandji przy pomocy bezprawia. Na terrorystyczne akty powstańców odpowiadali jaskrawszem bezprawiem „Brunatno — Czarni" (*Black and Tans*). Bezprzykładnym nawet w najświeższych dziejach Europy środkowej aktem pacyfikacji było zrabowanie sklepów i spalenie wielu budynków irlandzkiego miasta Corku przez czarno - brunatną „policję". Tymczasem w Ameryce De Valera trudził się około swej misji. Jako dyplomata zawiódł właściwie fatalnie. W ciągo rocznego mniej więcej pobytu w Ameryce doprowadził do głębokiego rozłamu między tamtejszymi sympatykami irlandzkiego ruchu niepodległościo wego i zraził sobie starych działaczy miejscowych, Cohalana i Devoya. Mimo to — rzecz szczególna — autorytet jego imienia nie ucierpiał wcale przez to w Irlandji. De Valera miał w sobie niezwykłą zdolność trwałego oddziałania na otoczenie. Jako bohater powstania wielkanocnego, wolny też był od zarzutu, że „dekuje się", kiedy inni narażają swe życie.

Tymczasem w Irlandji wypadki wchodziły w nową fazę. Parlament westminsterski pośpiesznie uchwalił ustawę, przeprowadzającą wyodrębnienie sześciu hrabstw północnej Irlandji, znanych pod nazwą Ulsteru. Przeprowadzono też w Irlandji nowe wybory. Wszędzie poza Ulsterem zwyciężyli kandydaci *Sinn Fein*'u, zbojkotowali jednak instytucję odrębnego parlamentu dla południowej Irlandji, tak że projektowany przez Anglję nowy samorząd dla Irlandji nie wszedł w życie. Przeciwnie,

zaostrzała się do najwyższego stopnia wojna domowa. „Brunatno-Czarni“, t.j. oddziały policji, działającej na sposób hajdamacki, wzięli sobie za metodę palić domy wybitnych uczestników powstania irlandzkiego. W odwecie rewolucjoniści tak skutecznie podpalali domy zwolenników *regime*'u angielskiego, że wołania o pokój i o bardziej cywilizowany porządek w kraju stały się coraz powszechniejsze. Niebywały terror, uprawiany przez „Brunatno-Czarnych“, jako metoda administracji państwowej, kompromitował Anglję ogromnie, zwłaszcza w oczach Amerykanów. Zaraz po podpaleniu Corku przez „Brunatno-Czarnych“ powrócił do Irlandji De Valera.

Bieg wypadków, jakie się odtąd potoczyły, znany jest dobrze światu. W szczególności znana jest długa wymiana listów między De Valerą i Lloyd Georgem, w przedmiocie warunków, na których zawieszenie broni mogłoby być zawarte. W korespondencji tej De Valera okazał niepospolitą zaiste zdolność djalektyczną. Delegaci rządu irlandzkiego stanęli w Londynie, nie mając właściwie rąk związanych żadnym krępującym warunkiem. Po mozolnych i długich pertraktacjach, w których De Valera sam nie brał udziału, a w których wyróżnił się szczególnie talentem do negocjacyj Michał Collins,— delegaci powrócili do Irlandji z tekstem projektu, który następnie miał się zamienić w konstytucję Wolnego Państwa. Tu nastąpiła rzecz najmniej spodziewana. De Valera gwałtownie sprzeciwił się projektowi traktatu i wyparł się czynności własnych delegatów. Co dziwniejsze, projekt konstytucji, jaki sam przedstawił, znany w powojennej historji Irlandji jako „dokument Nr. 2“, bardzo podobnie ujmował zasadniczą kwestję związku z Anglją, jak to czynił podpisany przez delegację traktat. Rozpoczęły się długie, przy drzwiach zamkniętych odbywane sesje parlamentu irlandzkiego. Artur Griffith i Michał Collins, jako autorzy traktatu, znaleźli się w ostrej opozycji do De Valery, który zrozumiawszy, iż „dokument Nr. 2“ niedostecznie uzasadnia jego sprzeciw, przedstawił—zkolei radykalniejszy nieco „Dokument Nr. 3“. Ostatecznie posłowie irlandzcy nieznaczną większością głosów opowiedzieli się za przyjęciem traktatu. De Valera zrazu obiecał lojalną opozycję. Nie był jednak absolutnym panem wszystkich, składających się na tę opozycję czynników. Szybko walka przeniosła się z terenu parlamantarnego na grunt krwawej wojny bratobójczej, stanowiącej w dziejach Irlandji jeden z bardziej tragicznych rozdziałów. Zaraz na początku walk, w roku 1922, zginął w wojnie tej, nieostrożnie eksponowawszy się na placówce, Michał Collins. W tydzień przedtem zaś umarł wódz intelektualny ruchu, Artur Griffith. Na czoło partji zwolenników traktatu wysunął się b. minister do spraw samorządowych w powstańczym rządzie, Cosgrave, który aż przez 10 lat miał być następnie premjerem Rządu Wolnego Państwa Irlandzkiego.

Wojna domowa, jak wiadomo, skończyła się na schyłku 1922 roku stanowczem zwycięstwem zwolenników traktatu. Dzieje ich dziesięcioletnich w następstwie rządów znane są dobrze. W czasie tym oparli oni politykę irlandzką na pewnych stałych w stosunku do Anglji zasadach. Za podstawowy dogmat przyjęli, że Irlandja jest i pozostać musi krajem gospodarczo zależnym od Anglji, zmuszonym kupować od niej produkty przemysłowe, sprzedając wzamian rolnicze. Samowystarczalność gospodarcza Irlandji uchodziła za rzecz w praktyce nieziszczalną. Tak się jednak złożyło, że doszedłszy do władzy po wyborach w 1932 roku i korzystając z poparcia nielicznej zresztą w parlamencie partji pracy, De Valera znalazł najpomyślniejsze w opinji warunki do urzeczywistnienia tego właśnie trudnego ideału. Urzędowanie swe rozpoczął mianowicie od przeprowadzenia zmian konstytucyjnych, polegających na zniesieniu przysięgi na wierność królowi angielskiemu. Kwestję postawił bardzo zręcznie. Nawet na opinji angielskiej zrobił wrażenie argument, że Irlandja w każdym razie władna jest ustalać dla siebie swoją własną konstytucję. Pozyskał zaś poparcie wszystkich drobnych rolników w kraju, odmawiając Anglji prawa do pobierania rat rocznych, należnych od tychże rolników za grunty, pomiędzy nich poprzednio rozparcelowane. De Valera zgodził się oddać tę kwestję pod sąd rozjemczy, w którym jednak nie zasiadaliby przedstawiciele Imperjum Brytyjskiego. Na to Anglja zaś przystać nie mogła. Zachowując więc pozór kompromisowości w akcji, zarazem osiągał sukcesy i wywalczał od Anglji zdobycze, o których nie śmieli marzyć jego poprzednicy. Dało mu to tak silną pozycję w opinji kraju, że ponowne wybory na początku 1933 roku zapewniły jego partji tym razem stanowczą większość. Wobec zatrzymania rat rocznych, Anglja zastosowała taktykę odwetu ekonomicznego, nakładając cła na towary irlandzkie. W tym stanie rzeczy De Valera, podjąwszy akcję, zmierzającą do gospodarczego usamodzielnienia kraju, miał za sobą całą patrjotyczną opinję. W rezultacie udało mu się uniknąć katastrofy, którą rzeczoznawcy ekonomiczni uważali za nieuchronną. Miejscowy przemysł irlandzki otrzymał nowy bodziec do rozwoju, jednocześnie zaś spożycie płodów rolniczych przez ludność miejscową wzrosło w bardzo znacznym stopniu. Wyzyskanie w pełni rynku wewnętrznego powetowało niemal straty, poniesione w handlu zewnętrznnym, dając zarazem krajowi poczucie bezpieczeństwa gospodarczego i niemałą satysfakcję patrjotyczną. Dalszym sukcesem było wzięcie udziału przez Irlandję w ekonomicznej konferencji imperjalnej w Ottawie. Anglja czyniła wysiłki, aby delegaci irlandzcy nie zostali do obrad w konferencji tej dopuszczeni. Ale dominja tak dalece już się dziś usamodzielniły, że Kanada, organizatorka konferencji, nie licząc się z interwencją angielską, potraktowała delegatów irlandzkich narówni z innymi... Był to rzeczywiście efektowny dyplomatyczny sukces Irlandji.

Powodzenie osobiste znowuż odniósł De Valera, przewodnicząc na sesji Rady Ligi Narodów w Genewie. Miał to samo szczęście, co polski minister Beck, że właśnie za jego urzędowania przypadła nań kolej przewodniczenia w Radzie. Upamiętnił się jednakże nierównie więcej od naszego ministra talentem przewodniczenia i indywidualnym charakterem wygłoszonych *ex praesidio* przemówień.

Duże propagandowe znaczenie miał dla nowej Irlandji międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w Dublinie, na którym setki tysięcy delegatów z całego świata zapoznały się po raz pierwszy z prastarą kulturą katolicką kraju i umiejętnością organizacyjną ludzi, dziś nim rządzących.

Sporu z Anglją nie doprowadził De Valera do ostatecznego, pomyślnego rozstrzygnięcia. Ale zdobył dla Irlandji, jako niezależnej w tym sporze strony, stanowisko, odpowiadające aspiracjom i po-

czuciu godności narodowej większości Irlandczyków. Jest dziś znów rzeczywistym przywódcą i rzecznikiem swojego społeczeństwa.

Łącząc w sposób zadziwiający fanatyzm i roztropność, nieustępliwość i zdolność do nieskończonych ceregieli w pertraktacjach, upodobanie do djalektyki i zmysł rzeczywistości, upodobanie do dyplomacji i męstwo, tępy upór i twórczą inicjatywę,—okazał się indywidualnością niepospolitą, około której naród irlandzki w przełomowym okresie swoich dziejów zjednoczył się, jak około nikogo innego. Już pod dziesięcioletniemi rządami Cosgrave'a, Irlandja zdobyła się na rządność wewnętrzną i utwierdziła swą niezależność polityczną. Pod przewodem De Valery wyzwoliła się z pęt narzuconego przemocą traktatu i w niesłychanie śmiały, pouczający także dla Polski, sposób wysiliła się na gruntowną przebudowę swego gospodarczego życia, poświęcając rynek angielski gwoli pełnemu wyzyskaniu rynku wewnętrznego. Ta rewolucja gospodarcza nie jest jeszcze zakończona. Ale już osiągnięto w krótkim czasie bardzo wiele. Tak podejmuje Irlandja, dawny i zawsze twórczy członek europejskiej społeczności narodów, swój potrzebny i niezależny udział w jej życiu, wielce poważny, dziś zwłaszcza, w dobie kryzysu cywilizacji.

JAN RUDIS

JAK POWSTAŁO ARCYBISKUPSTWO GNIEŹNIEŃSKIE?

WYKŁAD głośnego uczonego niemieckiego, prof. Brackmana wprowadził był uczestników ostatniego międzynarodowego zjazdu historyków w atmosferę przełomu wieków X i XI. Zdaniem prof. Brackmana, nigdy, ni przedtem, ni potem, nie była Europa bliższą ideałowi jedności politycznej, niż w tych czasach, kiedy myślano o uniwersalnej monarchji chrześcijańskiej, pozostającej pod naczelnem zwierzchnictwem papieża i cesarza.

W systemie tym miała wyznaczone sobie miejsce i Polska Bolesława Chrobrego. Wiele pisano już w tym przedmiocie, lecz nie wszystkie zagadnienia, związane z wypadkami z roku 1000, t. j. ze zjazdem gnieźnieńskim, wydawały się dostatecznie wyjaśnione. Z prawdziwem tedy zainteresowaniem bierzemy do ręki ostatnią pracę, która stara się ten problem wszechstronnie i w miarę możności wyczerpująco wyświetlić.

Praca ta wyszła z pod pióra prof. M. Z. Jedlińskiego. Poza swemi walorami rzeczowemi ma i tę zaletę, że ogłoszona jest w języku francuskim, w czasopiśmie czytanem przez szerokie rzesze historyków różnych narodów; rozprawa prof. J., traktując o zagadnieniu, które miało rozgłos międzynarodowy, pozwala zarazem na zapoznanie się z wynikami polskich badań naukowych przez świat naukowy zagraniczny [1]).

Rzecz prof. J. omawia problem roku 1000-go na tle uprzedniego prawno-politycznego stosunku państwa polskiego do cesarstwa. Jest to słuszny punkt widzenia, gdyż nie można zrozumieć wypadków gnieźnieńskich, gdy się nie rzuci ich na tło polityczne ówczesnych stosunków polsko-niemieckich.

Jaki zatem prawny charakter miały stosunki państwowe polsko-niemieckie przed rokiem 1000? Prof. J. jest zdania, że właściwe światło na te stosunki rzucają dwie wzmianki, które wyraźnie charakteryzują ten stosunek. Jedna z nich zapisana jest pod datą roku 972 i powiada, że w tym roku margrabia Hodo ścigał Mieszka, płacącego trybut, aż po Wartę. Druga z nich znajduje się w kronice biskupa merseburskiego Thietmara, który melancholijnie wyrzucając Ottonowi III politykę jego z roku 1000 i zaznaczając: „niech Bóg wybaczy imperatorowi, że trybutarjusza czyniąc panem...“ i t. d., podkreśla, że do roku 1000 był Chrobry trybutarjuszem. Wynika z tego, że niema podstawy, by przed rokiem 1000 mówić o lennym stosunku Polski do cesarstwa. Przy tej sposobności trzeba jednak zaznaczyć, że, w hierarchji zależności od cesarstwa, zależność lenna była czemś lepszem od zależności trybutarnej, którą obciążano świeżo podbijane ludy słowiańskie, przedewszystkiem zaś Słowian weleckich i obodryckich.

Samo nałożenie trybutu łączy prof. J. z wypadkami z r. 963, kiedy Mieszko I poniósł klęskę w walce o ujście Odry. Pobity został podówczas przez weleckich Redarów, którym przewodził znany w naszej historji graf saski, Wichman. Nie działał Wichman jednak z mandatu cesarskiego i dlatego Mieszko usiłował zabezpieczyć się przed jego akcją i przed tymi, którzy mogli stać za nim, przez wejście w bezpośrednie porozumienie z cesarzem Ottonem I. Ceną, którą zapłacił za to porozumienie, i za którą otrzymał tytuł „przyjaciela cesarskiego“ (*amicus imperatoris*) był trybut zadeklarowany właśnie z Pomorza (był to trybut płacony „aż po Wartę“, biorąc pod uwagę przestrzeń pomiędzy wybrzeżem Bałtyku a dolnym biegiem Warty).

Powyższe konkluzje prof. J. w znacznej mierze zgadzają się z wynikami innego uczonego poznańskiego, prof. J. Widajewicza, który w szeregu monografij usiłował wyświetlić wypadki z roku 963, jak i roku 967, kiedy to Mieszko wziął odwet na swych przeciwnikach z roku 963-go. Prof. Widajewicz do dwu prac, ogłoszonych w tomach VI i X czasopisma „*Slavia occidentalis*“, dorzucił świeżo cenną rozprawę p. t. „Wichman“ (Poznań, nakładem T. P. N., 1933, str. 116). W tej to rozprawie, dając biografję awanturniczego grafa, stara się najdokładniej wyświetlić przebieg wypadków z roku 963, przyczem stoi na stanowisku, że Wichman został podówczas użyty przez swego kuzyna, słynnego margrafa Gerona.

Od opisu tła wróćmy jednak do wypadków z roku 1000. W roku tym Chrobry zostaje zwolniony z zależności trybutarnej w stosunku do ce-

[1]) „*La création du premier archevêché polonais à Gniezno et ses conséquences au point de vue des rapports entre la Pologne et l'Empire germanique.* „*Revue historique de droit français et étranger*“, 1933, str. 645—695.

sarstwa. Jest rzeczą niewątpliwą, że krok ten miał na celu zjednanie Chrobrego dla planów politycznych Ottona III. Ale Otto poszedł jeszcze dalej. W porozumieniu z papieżem Sylwestrem II i z jego mandatu (jak to trafnie przeciw Brackmanowi wykazuje prof. J.) przystąpił do kreowania w Gnieźnie pierwszego polskiego arcybiskupstwa. Równocześnie z arcybiskupstwem powstały trzy biskupstwa, w Kołobrzegu na Pomorzu, we Wrocławiu i w Krakowie. Od roku zaś 966 istniało na ziemiach polskich biskupstwo poznańskie.

Cesarz Otto III działał jako mandatarjusz papieża i zarazem jako pan trybutarny Polski. Jednak równocześnie ze zrzeczeniem się zwierzchności trybutarnej zrzekł się i swych praw zwierzchnich do organizacji kościelnej w Polsce. Poucza o tem wyraźnie kronika naszego Galla Anonima („*in ecclesiasticis honoribus quidquid ad imperium pertinebat*"). Ale tutaj wyłaniała się trudność. Według obowiązujących ówcześnie przepisów prawa kanonicznego biskupów mógł mianować tylko król (prawo mianowania biskupów przysługuje podówczas władzy świeckiej). Chrobry był tylko księciem. Jak tę rzecz rozstrzygnięto?

Wyjaśniając tę kwestję, daje prof. J. w swej pracy wyświetlenie jednej z bardzo ważnych kwestyj z przeszłości Polski.

Wiadomo, że kronika Galla Anonima podała opis włożenia korony na głowę Bolesławowi Chrobremu przez Ottona III Prof. J., idąc za poprzednikami, słusznie jednak odrzuca twierdzenie o dokonaniu podówczas koronacji Chrobrego przez Ottona III. Do tego nie miał cesarz prawa, wiadomo zresztą, że Chrobry koronował się w lat 24 później. W kronice Galla nastąpiło tedy niewątpliwie pomieszanie jakiegoś uroczystego aktu, który miał miejsce w roku 1000, z późniejszą koronacją. Tylko co to był za akt uroczysty?

Pewne przypuszczenia rzucił był w tej kwestji jeszcze w połowie u. wb. działający we Lwowie historyk niemiecki Zeissberg. Podkreślił mianowicie, że tekst formuły, przytoczonej przez Galla w związku z opisem rzekomej koronacji, żywo przypomina formułę, stosowaną przy nadawaniu godności patrycjusza. Tylko o jaki to rodzaj patrycjatu mogło chodzić?

Rozpatrując najnowszą literaturę naukową, dotyczącą tych kwestyj, dochodzi prof. J. do przekonania, że mógł to być tylko ten rodzaj patrycjatu, który w wieku VIII nadał był papież Stefan II przodkowi Karola Wielkiego, majordomowi Pepinowi, obciążając go tem samem obowiązkiem opieki nad Kościołem. W ten sposób, zdaniem autora, można było z jednej strony obejść przepisy, dotyczące prawa mianowania biskupów, z drugiej zaś dać satysfakcję Chrobremu i obciążyć go obowiązkiem opieki nad Kościołem.

Równie ciekawe, jak to uzasadnienie tezy Zeissberga, jest też podkreślenie, że Ottonowi III bynajmniej nie zależało na koronacji Chrobrego na króla. Myślał wprawdzie Otto III o pozyskaniu Chrobrego dla swych planów, ale bynajmniej nie myślał o zupełnem uniezależnieniu władcy polskiego. Wiemy też konkretnie, że kiedy Chrobry, zaraz po roku 1000, jeszcze za życia Ottona III, czynił starania o koronację, starania te nie doprowadziły do rezultatu. Do korony miał dojść dopiero po 15-letniej wojnie z Niemcami, uwieńczonej zwycięskim pokojem, zawartym w roku 1018 w Budziszynie. Romantyzm Ottona III miał zatem swe granice. Hegemonja polityki Ottona III i Niemiec w zakresie planów monarchji uniwersalnej została utrzymana.

Takie są rezultaty cennej pracy prof. J., która zresztą jest tylko fragmentem przygotowanego większego dzieła o stosunku prawnym Polski do Niemiec w czasach piastowskich [1]).

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

---

[1]) Streszczenie tych ostatnich wyników przedstawił autor na międzynarodowym zjeździe historyków, odbytym ostatnio w Warszawie. Obacz III tom referatów polskich (w druku) i odbitkę.

SEN NOCY LETNIEJ

Śpij... Ciepło mi przy tobie...
...Od gwiazd się trzęsie i jarzy
noc letnia, pełna ros...
Nie trzep mi tylko przy twarzy
uchem puchami obrosłem...
Śpij... Nie przeszkadzaj mi teraz...
Wiem przecie... Jesteś osłem,
a ja elfową królewną...
Dlaczego sapiesz we śnie?
Nikt o nic cię nie pyta...
Leż cicho, bo w szatkę zwiewną
wpłączesz mi ośle kopyta...
Śpij...
...Źródlanie jakoś i leśnie
mech pachnie... Cierpkie tchy
od jaru idą... Gwiazdami
niebo oblepło
i lśni...
...Miękko przy tobie i ciepło...
Jesteśmy w lesie sami...
W sierść oślą ufnie wtulona
chcę w gwiazdy patrzeć dalekie
i tęsknić do Oberona...
Śpij...

BEATA OBERTYŃSKA

NA WIDOWNI

Niesmaczne niekonsekwencje. — Syjonista... Roman? — Atakowanie Polaka... „żydożerstwem"? — Handelsman i Brandstaetter.—Jak żydzi rozumieją naród europejski?

W SPRAWACH z żydami zawsze natrafia się na pewne — łagodnie mówiąc — niekonsekwencje, które u ludzi, przyuczonych do większej rzetelności w myśleniu, z konieczności wywoływać muszą uczucie niesmaku. Przed kilku dniami, jako redaktor odpowiedzialny „Myśli Narodowej", stawałem przed Sądem Okręgowym w Warszawie, oskarżony przez literata żydowskiego, Brandstaettera, obrażonego wiadomością, jakoby przed paru laty uczęszczał był „na zebrania pewnego kółka katolickiego" z zamiarem nawrócenia się na religję chrześcijańską. „Podejrzenie o chęć porzucenia wiary przodków swoich, to zarzut poniżający w oczach każdego uczciwego człowieka" — wołał z emfazą pełnomocnik oskarżyciela, p. adwokat Benjamin Tomkiewicz. A tenże p. Brandstaetter w dalszym ciągu używa stale i wyłącznie imienia... Roman, więc imienia męczennika rzymskiego, które przecież jedynie na chrzcie św. otrzymać można, nie zaś przy innym, bardziej starozakonnym obrzędzie...

— — — — — — — — — — — —

Drugi przykład dwoistości, zupełnie dla naszej psychiki niezrozumiały. Prof. Handelsman znieważony został na dziedzińcu uniwersytetu, gdy wychodził z zebrania w akademickiem Kole Historyków, gdzie, skorzystawszy ze swojej władzy kuratora, nie dopuścił był do poddania pod głosowanie wniosku, zalecającego nie przyjmowanie na członków organizacji — studentów pochodzenia żydowskiego. Zarówno on sam, w wywiadzie udzielonym z tej okazji „Kurjerowi Czerwonemu", uznał za rzecz taktowną zaznaczyć „skromnie", że w r. 1920 służył czas jakiś jako ochotnik w 5 pułku piechoty Legjonów, jak też nie omieszkali, ze znamienną zaiste skwapliwością, przypomnieć o tym fakcie jego przyjaciele (*vide*: list gen. Skwarczyńskiego w nr. 77 „Kurjera Porannego" z dn. 18 b. m.). Syjonistyczny „Nasz Przegląd" (z dn. 19 b. m.) nazywa prof. Handelsmana „stuprocentowym polakiem i katolikiem"...

A jednakże tak się dziwnie złożyło, że ten wypominający swą parotygodniową służbę *miles gloriosus*, pierwszy raz odniósł szwank na swojem ciele, gdy przyszło walczyć nie w obronie granic Rzplitej, lecz gdy potykał się o zniesienie t. zw. „paragrafu aryjskiego", gdy tak odważnie stanął do boju o... zażydzenie polskich stowarzyszeń młodzieży... I tak też jakoś naturalnie zupełnie wypadło, że tenże syjonistyczny „Nasz Przegląd" — napaść na tego „stuprocentowego polaka" określił jako... „akcję żydożerczą"...

— — — — — — — — — — — —

Handelsman i Brandstaetter!... Jakby dwa bieguny przeciwległe, przedstawiciele dwu odmiennych całkowicie, wyłączających się nawzajem typów i środowisk. Pierwszy — „polak stuprocentowy", drugi — nacjonalista żydowski, pierwszy — uczony, wychwalany za objektywizm, drugi — namiętny poeta, pierwszy — profesor polskiego uniwersytetu, drugi — wykładowca w szkole rabinicznej... O Handelsmanie ze czcią najgłębszą pisze żydowski „Nasz Przegląd" („położył... niespożyte zasługi" i t. d.), Brandstaetterem, naodwrót, entuzjazmuje się sprawozdawca literacki „Gazety Polskiej". Rzekłbyś: same antytezy...

A tymczasem, skoro przyjrzeć się bliżej, dostrzega się jakieś uderzające podobieństwo, nietylko w owych, drobno falujących włosach, tak charakterystycznych u obu, pomimo różnic zarówno barwy, jak i gęstości. I nietylko w tem, że obaj cieszą się dzisiaj takiem życzliwem poparciem kół oficjalnych: p. Brandstaetter chlubił się na przewodzie sądowym, że był „stypendystą rządu polskiego", no, a prof. Handelsman...

— — — — — — — — — — — —

W r. 1923 prof. Handelsman ogłosił książkę p. t. „Rozwój narodowości nowoczesnej"[1]), nie zalecającą się precyzją sformułowań, gdzie dosyć niefrasobliwie decyduje się na takie np. uogólnienia, że przed ruchami społecznemi wieku XVIII — „jeżeli istnieje patrjotyzm, to patrjotyzm państwowy, a państwo zidentyfikowane z czynnikiem siły i przywileju, zastępuje w świadomości zbiorowej to, czem dla tej świadomości w dzisiejszem rozumieniu będzie naród"[2]). Czyż to ma znaczyć, że patrjotyzm Skargi lub Kochanowskiego miał jedynie państwo za przedmiot, że już najmniejszych przywiązań serdecznych nie budziła w nich całość cywilizacji narodowej, polski obyczaj, polska mowa? Może polszczyzna dlatego tylko zainteresowała Jana z Czarnolasu, ponieważ była... urzędowym językiem państwowym? I czy wogóle Anglicy, Francuzi, Polacy z przed lat dwustu, tak całkowicie mogli być niepodobni do swoich potomków dziś żyjących, tak najzupełniej odmienną posiadać strukturę psychiczną, nie znającą głosu krwi, wyzutą z instynktów, żeby żadnego nie czuli związku moralnego ze swą tradycją, ze swem odwiecznem środowiskiem cywilizacyjnym, słowem: ze swoim n a r o d e m?

Zdaje się wszakże, iż różne tego rodzaju niejasności, sprzeczne stwierdzenia, zawiłe wywody prof. Handelsmana, wytłumaczy potrosze dalsze, następujące zdanie jego rozprawy: „Tkwiąc głęboko w procesach społecznych, ruch narodowościowy, jako psychiczny, c z e r p i e s w ą t r e ś ć z e ź r ó d e ł i d e o l o g i c z n y c h"[3]). W tym sposobie ujmowania rzeczy przez autora, jest bodaj wskazówka bardzo cenna, pozwalająca odcyfrować niektóre zagadki umysłowości nietylko jego samego, lecz również wogóle jego współplemieńców.

Żyd nie umie zdać sobie sprawy, czem w istocie swej jest naród europejski, nie pojmuje zgoła więzi duchowej, która go tworzy. Nie wtajemniczy go w nią jego własny stosunek do żydostwa, ponieważ społeczność żydowska jest czemś tak swoistem pod każdym względem, tak odrębnem, że jakiekolwiek analogje okazują się tu zupełnie bezużyteczne, niemożliwe. To też o narodzie europejskim uczy się z książek, z wyczytanych w nich definicyj i formuł, z natury rzeczy więc skłonny jest traktować go, jak jakąś koncepcję intelektualną, która zjawia się albo znika, jak „ideologję", którą można przyjąć, odrzucić...

I tutaj znowu znakomitym przykładem jest p. Brandstaetter, kiedy zeznawał na sądzie, że ustęp z jego artykułu w „Opinji", który dał powód

[1]) M a r c e l i H a n d e l s m a n: „Rozwój narodowości nowoczesnej", Warszawa, 1923 r., nakł. Gebethnera i Wolffa.

[2]) *Ibid* str. 9.

[3]) *Ibid* str. 11.

pomówieniu go o zamiar przejścia na katolicyzm, dotyczył zmiany nie religji bynajmniej, ale narodowości. Przed paru laty „uważał się“ jeszcze za Polaka, członka narodu polskiego, dzisiaj „wybrał“ żydostwo i syjonizm, i o tej swojej ewolucji poglądów temi słowy zawiadamia swoich czytelników: „Więc z drugiego brzegu rzeki... powiewam chustką i wołam: *adieu*“... „Ideologja“ uległa zmianie.

Dlatego dobrze jest, dzięki p.p. Brandstaetterom, Handelsmanom i im podobnym, uprzytomnić sobie niekiedy dokładniej, jaka szeroka jest ta rzeka, która nas dzieli, jak nie można budować na niej mostów.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

W OSTATNIEM PRZEMÓWIENIU MUSSOLINIEGO, znanem nam dotychczas tylko ze streszczenia PAT-a, a wygłoszonem na pełnem zgromadzeniu partji faszystowskiej, znajduje się interesujący urywek, poświęcony Lidze Narodów. Jak wiadomo, szef rządu włoskiego wystąpił z projektem gruntownej przebudowy genewskiej instytucji. „Zasada reformy Ligi została uznana powszechnie“ — dorzucił teraz. „Oczywiście do reformy tej należy przystąpić po zamknięciu konferencji rozbrojeniowej, gdyż jeżeli konferencja ta nie da wyników, to nie będzie wcale potrzeby reformować Ligi Narodów. Wystarczy tylko zarejestrować jej zgon“. Istotnie, w razie wycofania się Włoch z Ligi, tylko Anglja i Francja — dwa z pośród siedmiu wielkich mocarstw świata — pozostałyby nadal jej członkami.

Dziwna rzecz, że ten kryzys Ligi, o jakim znów przypomniał brutalnie Mussolini, najmniej zafrasował jej przyjaciół, zorganizowanych po różnych zrzeszeniach od lat kilkunastu w wielu krajach. Trudno o coś bardziej anachronistycznego, niż czynności tych organizacyj. Właściwym ich popisem było dotychczas urządzanie zjazdów międzynarodowych tudzież wydawanie biuletynów i innych publikacyj. Najulubieńszym zaś i najżywiej dyskutowanym zawsze tematem była sprawa „mniejszości narodowych“, zwłaszcza w Polsce. Bez poruszania go nie można było być przyjacielem Ligi. Tak było przed dziesięciu laty, i tak jest teraz, kiedy zarówno zagadnienie „mniejszości“ w Europie, jak i rola Ligi, zmieniły się nie do poznania. Nie zmienili się przyjaciele Ligi, ani sposoby, jakiemi przyjaźń dla niej manifestują. Groźba skończenia się Ligi nie odwróciła ich uwagi od zagadnień „mniejszościowych“, jakby ratunek dla „mniejszości“ miał być także ratunkiem dla Ligi. A zarazem cały przewrót, zdziałany w Niemczech przez Hitlera, nie pozbawił Polski jej uprzywilejowanej w oczach zagranicznych przyjaciół Ligi pozycji, jako kraju, zawsze dającego główny temat do dyskusyj...

Jeśli Liga zginie, i działalność jej przyjaciół z konieczności będzie musiała ustać, to prawdopodobnie ustanie ona w chwili, kiedy gdzieś na jakimś zjeździe międzynarodowym duskusja o ochronie „mniejszości“ w myśl traktatów rozwijać się będzie, jak za najlepszych czasów. Być może, wieść o końcu Ligi przyjdzie niespodziewanie. Komisja wysłuchała właśnie nowych sprawozdań na stary temat. Delegaci polscy, jak zwykle, poczuli się w obowiązku uroczyście zaprot... W tem miejscu przewodniczący odczytał nagle sensacyjną depeszę, że Ligi więcej niema... Trzeba będzie skończyć szczęśliwie rozpoczęte obrady. Położy to kres całej bezsensownej robocie.

Rozpierzchając się po świecie, przyjaciele Ligi z różnych krajów przyznają sobie zasługę, że do ostatka robili, co mogli, żeby skompromitować nieboszczkę.

W MAŁEJ SALCE SĄDU OKRĘGOWEGO, w warunkach idealnego spokoju, kameralnie, odbył się proces, który w prasie codziennej znalazł echo nader głośne. Niektóre charakterystyczne szczegóły rozprawy nie zostały jednak zanotowane. Żydzi umieją przypomnieć swoją odrębność w sposób niespodziewany. Oskarżyciel prywatny pisarzy Pieńkowskiego i Rembielińskiego, literat żydowski, Brandstaetter, złożył przed sądem uroczyste oświadczenie o swej przynależności do żydostwa. Wyglądem stwierdził również dobitnie swoją narodowość. A przecież o wiele mocniej jeszcze zaakcentował ją, cytując na przewodzie kabaretowy wiersz jako piosenkę— ludową.

Żyd różni się od Polaka swojemi pomyłkami, niemniej niż wierzeniami. Żaden Europejczyk nie mógłby przypuścić tak, jak londyński korespondent „Gazety Polskiej“, Florjan Sokołów, że parlament angielski obraduje w opactwie. Żadnemu Polakowi, choćby najbardziej roztargnionemu, nie mógłby nigdy lud pomylić się z kabaretem... To potrafią tylko żydowscy wychowankowie Oxfordu, żydowscy miłośnicy Norwida i Mickiewicza. Uwydatnienie pomyłki było najzabawniejszym, a jednocześnie, z punktu widzenia socjologicznego, najciekawszym momentu procesu.

Wyrok sądu, dający satysfakcję moralną oskarżonym, odpowiedział zarazem poczuciu prawnemu i moralnemu społeczeństwa. Jak słusznie podniósł na przewodzie obrońca, adw. Jodzewicz, kryterja tego, co czci jednostki uwłacza, powinny być objektywne. Miarodajny jest sąd o tem narodu, posiadającego państwo, nie zaś sąd jakiejś poróżnionej z panującą cywilizacją grupy społecznej. Wszelka inna konstrukcja prowadziłaby do niemoralności i absurdu. Ze względu na porządek publiczny muszą mieć zastosowanie pojęcia o moralności i honorze narodu, w państwie rządzącego.

Nie da się zaś pojęć o czci i o wynikającej z nadszarpniętej czci, utracie zaufania, oddzielić od pojęć o moralności i honorze i o dobrych obyczajach wogóle. Pojęcia te muszą być także i w praktyce sądowej jednolite i jednakowe dla całego państwa. W tym zakresie pojęcia innych grup społecznych, oprócz narodu - gospodarza, nie mogą mieć zastosowania. W polskiem rozumieniu rzeczy, zmiana religji z pobudek niskich — jest rzeczą hańbiącą. Lecz wedle tych samych pojęć, pomówienie kogoś o zamiar przejścia na katolicyzm, z pobudek bezinteresownych, nie może być nigdy dla nikogo uwłaczające. Ze stanowiska prawa zatem sprzeczne z dobremi obyczajami byłoby, gdyby zamiar taki sprowadzić *mógł* gdziekolwiek utratę zaufania. Religja nie znajduje się w hierarchji szacunku ludzkiego na szczeblu niższym, niż woj-

sko, lub prezydent. A bezwątpienia prawo nie może dopuścić myśli, aby ktoś, kto chce zostać generałem, albo prezydentem państwa, mógł przez to stracić zaufanie w swojej grupie społecznej. W tych rzeczach proporcje i granice ustalane być muszą objektywnie—kryterjami narodu-gospodarza.

NAUKA I LITERATURA

ZA CZASÓW ŁOKIETKA

ROZPRAWA p. Bronisława Włodarskiego „Polityka Jana Luksemburczyka wobec Polski za czasów Władysława Łokietka" (Archiwum Tow. Nauk. we Lwowie. Dział II, tom XI, zeszyt 3. Lwów, 1933. Str. 72) jest poświęcona niezmiernie ważnemu okresowi dziejów zarówno Polski, jak i Czech. W roku 1306 ginie, zamordowany w Ołomuńcu, Wacław III, ostatni z Przemyślidów. Czechy, będące podówczas u szczytu swej ekspansji politycznej, pogrążają się na dłuższy okres w bezwład z powodu walk pretendentów o tron. Dopiero w roku 1311 koronę czeską zdobywa Jan, syn cesarza Henryka VII z rodu Luksemburgów. Zamieszki dynastyczne w Czechach umożliwiają Władysławowi Łokietkowi utrwalenie swego panowania w Polsce. Jan Luksemburczyk nie zrzekł się jednak bynajmniej pretensyj do sukcesji polskiej po Przemyślidach. Utrwalanie panowania w Czechach, a następnie śmierć ojca, Henryka VII, i związana z tem sprawa elekcji nowego cesarza, Ludwika Bawarczyka, uniemożliwiły mu jednak danie, przygotowanej już, pomocy uczestnikom buntu wójta Alberta.

W następnych latach, aczkolwiek już nie było nadziei zawładnięcia tronem polskim, podkreśla przy każdej sposobności swe prawa do niego, usiłując przynajmniej dzięki tym pretensjom powiększyć obszar swego państwa. Stąd też wynikły jego ścisłe związki z Zakonem Krzyżackim i zbrojne zatargi czesko-polskie w latach 1327, 1329 i 1331. Chociaż nie osiągnął w tych walkach dyplomatycznych i orężnych korony polskiej, to jednak udało mu się prawie bez trudu sholdować sobie większość książąt śląskich. Książęta ci, drobni i słabi, związani przytem szeregiem spraw z różnemi krajami Cesarstwa i z dworem praskim, na którym nie jeden z nich odgrywał znaczną rolę, np. Bolesław III wrocławski, prawie bez oporu ulegają naciskowi Luksemburczyka i uznają się jego lennikami. W ten sposób Śląsk wpada w trwałą zależność od Czech. Łokietek, pochłonięty walką z Zakonem o Pomorze, nie mógł zupełnie temu zapobiec.

Monografja p. Włodarskiego, szczegółowo omawiająca te zdarzenia i zaznamiająca z postaciami, naogół dla niefachowców mało znanemi, różnych książąt śląskich, może być ciekawa dla każdego, interesującego się dziejami Polski, a przedewszystkiem Śląska. Dzięki szerokiemu tłu, danemu przez autora, zawiera ona także sporo informacyj o współczesnych dziejach Czech i ich stosunkach z innemi państwami.

LAMBDA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W Krakowie odbył się wieczór literacki, poświęcony twórczości K. H. Rostworowskiego. W imieniu Związku literatów przemawiał T. Kudliński. Artyści teatru wyreżyserowali fantazję dramatyczną „Czerwony Marsz" (temat z dziejów Rewolucji franc.). Artyści, siedząc za stołem, recytowali piękny wiersz Rostworowskiego. Rzecz wypadła doskonale. Poprzedził ją p. B. Pochmarski wykładem. Z powodu zapowiedzianego w teatrze przedstawienia „Judasza z Kariothu" na tymże wieczorze prof. St. Pigoń wygłosił odczyt o tem dziele Rostworowskiego.

*

W d. 15 marca odbyła się w Krakowie, staraniem Koła polonistów uniw. i Związku literatów, akademja ku czci znakomitego pisarza, Artura Górskiego. Przemawiali: prof. Ignacy Chrzanowski, rektor M. Siedlecki, E. Haecker, L. Szczepański, prof. St. Kołaczkowski, prof. St. Pigoń. Artyści teatru recytowali utwory poetyckie Górskiego.

*

Nagrodę literacką m. Krakowa (4000 zł.) przyznano dwu pisarzom: J. A. Gałuszce i M. Rusinkowi. Pierwszemu za zbiór poezyj „Cienie orłów", drugiemu za powieść „Burza nad brukiem".

Michał Rusinek, laureat nagrody m. Krakowa, urodził się 1903 r. Dzieciństwo i młodość spędził w środowisku proletarjackiem, z którego pochodził. Pierwsza jego książka ukazała się w r. 1928. Napisał: „Opowieści morskie", „Kapitan Czerwonego Widma" (nowele), „Bunt w krainie maszyn", „Pół mężczyzna", „Błękitna defilada" (poezje).

*

Ilustrowane pismo miesięczne „Tęcza" — ogłosiło niedawno konkurs na nowelę. Na konkurs nadesłano 1499 nowel przyjętych przez *jury*, oraz około 100 nie odpowiadających warunkom konkursu. Obecnie *jury*, składające się z 11 osób, usilnie pracuje nad klasyfikacją nadesłanego materjału. Należy się spodziewać, że z tej olbrzymiej ilości nowel—wybierze się wiele utworów naprawdę wartościowych. Bieżące numery „Tęczy" stale informują o postępie prac sądu konkursowego. Pierwszy taki komunikat przynosi marcowy numer „Tęczy".

Konkurs na nowelę ogłoszony został na potrzeby redakcyjne pisma. „Tęcza" uwzględnia bardzo szeroko w każdym numerze dział nowel i opowiadań. W ostatnim np., 3-im, który przed kilku dniami ukazał się w druku—zamieszczono trzy nowele: Gustawa Morcinka „Ptaki na grobie", Jerzego Marlicza „Dzień powszedni", oraz francuskiego pisarza Alberta Jeana „Bandyta". Oprócz tego, jak zwykle, przynosi numer szereg opowiadań, reportaży, opisów podróży, dział „Wiedza i życie", konkurs rozrywek umysłowych z nagrodami pieniężnemi, filatelistykę, grafologję i t. p.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wielbiciel twórczości Mieczysława Karłowicza młody pisarz p. Jerzy Młodziejowski, dał inicjatywę w 25-tą rocznicę śmierci kompozytora wydania książki pamiątkowej. Podjął się tego wydania zasłużony typograf i wydawca p. Jan Kuglin. Książka ich staraniem wydana p. t. „Mieczysław Karłowicz. W dwudziestą piątą rocznicę śmierci" (Poznań 1934, str. 48) jest nietylko miłą pamiątką, ale i cennym przyczynkiem do biografji znakomitego muzyka. Złożyły się na nią prace: prof. Adolfa Chybińskiego „O symfonice M. K.", Henryka Opieńskiego „Wspomnienia z berlińskich czasów", Zygm. Wasilewskiego „O psychice M. K.", gen. Marjusza Zaruskiego „*Non omnis moriar*", Jerzego Młodziejowskiego „Dwadzieścia pięć lat". Książeczkę, bardzo starannie wydaną na pięknym papierze (300 egz.), zdobią trzy plansze: portret, pomnik w Tatrach i *fascimile*. Na początek dano urywek z pism kompozytora. Poznań jedyny godnie upamiętnił rocznicę, żałobnie notowaną w dziejach muzyki polskiej.

*

Powstała niedawno spółdzielnia wydawnicza młodych prawników i ekonomistów, rozwija się w szybkiem tempie. Pierwsze wydawnictwo, przewidziane w planie wydawniczym Tow., znajduje się już w druku. Jest to „Komentarz do Nowego Kodeksu Handlowego" w opracowaniu Prof. Jana Namitkiewicza. Wydawnictwo to, o objętości około 300 stron in 8°, oprócz komentarzy do poszczególnych artykułów nowego kodeksu, orzecznictwa S. N. i t. p., zawierać będzie, dla celów porównawczych, także orzecznictwo sądów niemieckich oraz odpowiednie artykuły kodeksów handlowych, obowiązujących dotąd na obszarze b. zaborów.

Bliższych informacyj udziela Dział prawno-ekonomiczny Towarzystwa przy Księgarni Rolniczej — Warszawa, Mazowiecka 10, tel. 5-03-29.

*

Nowa powieść Poli Gojawiczyńskiej „Ziemia Elżbiety" („Rój". Serja Nowa, 1934) należy do najlepszych powieści ostatnich miesięcy. Napisana jest żywo, z doskonałem znawstwem współczesnego Śląska, kraju i ludzi. Dokument epoki przez ścisłe oparcie o rzeczywistość. Niema jednakże nic w sobie z t. zw. reportażu i faktomontażu, jest powieścią solidnie skomponowaną, gruntownie przemyślaną. Zarówno postacie pierwszoplanowe jak i drugorzędne odznaczają się pełną plastycznością ujęcia, nie są stylizowane, a żyją pełnem, niesfałszowanem życiem. „Ziemia Elżbiety" jest powieścią o pracy, bohater tej powieści—to Praca, największem szczęściem — jeśli jest, najokropniejszą klęską — jeśli jej niema. Rytm pracy przenika powieść od pierwszej do ostatniej kartki.

Dlatego też ludzie z „Ziemi Elżbiety“ są nam tak bliscy. Przeniknięci wspólnym ideałem życiowym rozumieją się wszyscy doskonale, bogaty kupiec i najuboższy robotnik, górnik i rolnik, urzędnik i strażnik graniczny — wszyscy pomagają sobie wzajemnie, gdy klęska bezrobocia roztacza przed nimi widmo głodu, oraz strach bezczynności, gorszy jeszcze od głodu. Brak pracy rzucił wielu najporządniejszych obywateli w ramiona zawodowych przemytników, inny spełnia bodaj pracę kobiety w domu, gdy żona idzie na posługi, innych przygarnia kościół — a najtłumniej zdążają do bibljotek, by dać zajęcie mózgowi — gdy go niema dla rąk.

Drugą wielką wartość książki tej stanowi jej spokojna objektywność, zarówno w ocenie faktów jak i ludzi. Autorka porusza mnóstwo zagadnień, które się odbiły szerokiem echem na Śląsku (religijne, polityczne, społeczne) i w podaniu i ujęciu tych zagadnień wykazała wspaniały umiar, uniknęła jaskrawości, o które tak łatwo było. Sprawiedliwa ocena kraju i ludzi (jeśli pominąć drobiazgi) świadczy zarówno o rzetelności pisarskiej i wyrobionem poczuciu odpowiedzialności, jak i o dojrzałym talencie. Język, z wyjątkiem nielicznych usterek, dobrze jest oddany i sharmonizowany z tłem ogólnem. Powieść naprawdę godna uwagi. (A. J.)

*

Ze świeżo wydanego cyklu nowel i opowiadań Janusza Meissnera p. t. „Latający Djabeł“, autora „Eskadry“ i „Hangaru nr. 7“ zdradzają przedewszystkiem nowela tytułowa i nowela p. t. „Tempo, tempo“. Ciekawa jest także przedmowa, w której autor przy końcu sam wyznaje pewną obawę co do wartości całego zbioru nowel. Istotnie, poziom jest bardzo nierówny. Są tematy okropnie oklepane i szablonowo ujęte jak: Trzy zwycięstwa — kwiaty, owoce, warzywa, i są nowele o temacie oryginalnym i ciekawym, którego autor nie potrafił całkowicie wykorzystać. (Jedenaście minut opóźnienia—Na ostrzach—a przedewszystkiem „Sprawa kapitana Croisset'a“). Całość robi wrażenie zbyt pośpiesznej roboty — i wielkiej satysfakcji estetycznej i emocjonalnej nie daje. (A. J.)

*

„Kto nam da prawdziwą królowę Jadwigę — i kiedy?“ pytał się swojego czasu jeden z badaczy literatury polskiej, stwierdzając, że postać wielkiej królowej nie doczekała się w tej literaturze należytego opracowania. Literaturę o Jadwidze zebrał w swej pieknej monografji Lucjan Rydel, sam wzbogacił ją dwoma pięknemi wierszami — mimo to do podobnego doszedł wniosku. Ani Szujski, ani Faleński, ani Wyspiański (mimo że napisał piękną scenę dramatyczną na ten temat) nie przedstawili ogromu zasług wielkiej królowej, nie zgłębili jej duszy. Sienkiewicz w „Krzyżakach“ ledwie że na dalszym planie postawił jej osobę. Jak dotąd, najważniejszą pozycją w omawianym tu zakresie pozostaje wciąż jeszcze szkic Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło“.

Tego stanu rzeczy nie zmieniły bynajmniej nowsze utwory beletrystyczne, jakie w dość wielkiej obfitości pojawiły się w latach ostatnich w związku z rozpoczętym niedawno procesem beatyfikacyjnym córy Loisowej. Najwięcej rozmachu i oryginalności, a przytem i swoistego stylu ma powieść M. Reutt „Męczennica na tronie“ (wyd. niestety w żydowskim „Renesansie“), choć oczywiście grubą przesadą były reklamy wydawcy i recenzentów, stawiających rzecz tę na poziomie dzieł Sienkiewicza. Na drugiem miejscu postawić należy dwutomową opowieść Heleny Duninówny „Jadwiga, Królowa Polski“ (Bibljoteka Książek Błękitnych). Rzecz ta, oparta w treści na materjale, zaczerpniętym z dzieł historycznych, zaleca się żywością akcji, prostotą języka i przystępnem ujęciem zagadnień, wobec czego stanowi wyborną, nader pożyteczną lekturę dla młodzieży szkolnej. Popularnie ujęta jest i powieść St. J. Czarneckiego o Jadwidze, jednakże w kolorycie bywa niekiedy mocno fałszywa (pieśń trefnisia, przypominająca „sztimungi“ z okresu Młodej Polski). Natomiast miłą niespodzianką dla Polaka jest powieść amerykańskiej pisarki Charlotte Kellog „Jadwiga“, ciesząca się niezmierną poczytnością za oceanem, a obecnie przełożona na język polski przez p. R. Potocką (wyd. Ks. Jezuitów, Kraków). Autorka przygotowała się do tej pracy przez długie studja, przez wertowanie źródeł historycznych, przez dłuższy pobyt w Polsce, Austrji i na Węgrzech; wniknęła przeto wybornie i w epokę i w tło lokalne. Co jednak najważniejsza, udało jej się uchwycić duchowe oblicze królowej Jadwigi, ofiarnej apostołki i patrjotki, a przytem kobiety, przeżywającej głęboko swą dolę i niedolę narzeczonej, żony i matki. (J. B.)

*

Nieudaną stanowczo imprezą jest wspólny tom reportaży i opowiadań grupy literackiej „Przedmieście“, pod tym samym tytułem. Na tom ten składają się prace: Boguszewskiej, Morcinka, Nałkowskiej, Kornackiego, Muszałówny i Rey'a. Pomijając ogromną niejednolitość poziomu poszczególnych opowiadań i reportaży, wyraźnie słabe prace Rey'a, częściowo Kornackiego i Muszałówny — najwięcej zastrzeżeń budzi samo założenie ideowe tego zbiorowego wysiłku literackiego, przez p. Krahelską, która napisała przedmowę i deklarację ideową, uważane za nowość. Stworzenie literatury o proletarjacie, o pracy proletarjatu — obserwowanie i ujęcie literackie „przedmieść“ rzeczywistych i kulturalnych praktykowane już jest od dość dawna i w wielu wypadkach znacznie szczęśliwiej od autorów wspomnianego tomu zbiorowego. Przypomnijmy „Burzę na bruku“ Rusinka, „Tęczę nad sercem“ Wiktora choćby, którzy wyszli z tych samych założeń ideowych — ale się ustrzegli jednostronności, czego o autorach tomu zbiorowego powiedzieć nie można.

Odnosi się dalej wrażenie, że bynajmniej nie wszyscy autorowie jednako gorąco wzięli sobie do serca ważny postulat każdego dzieła artystycznego: dbałość o dokładne i sumienne wykończenie pracy, dbałość o oryginalność. Umieszczenie drukowanych już poprzednio w książkach prac (Boguszewska: „Czerwone węże“) uważać należy raczej za lekceważenie czytelnika i niezgodne z praktyką literacką. Do najlepszych opowiadań należy opowiadanie wstępne Boguszewskiej (po raz pierwszy drukowane), dwa opowiadania Nałkowskiej, „Kataryniarz“ Morcinka i cykl „Powązki“ Muszałówny. Sporo obiecują opowiadania Kornackiego. Tom wyszedł nakładem „Roju — Nowa Serja“. (A. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

PRZED laty pewien młody student architekury (Gronowski), początkowo tylko dla zarobku, jął się grafiki użytkowej. Prace jego znamionował niewątpliwy talent, ich sukces był tak znaczny, że student zrezygnował wkońcu ze swych ambicyj architektonicznych i już na stałe i niepodzielnie poświęcił się grafice reklamowej. Dzisiaj jest znanym artystą, wielce zasłużonym zarazem, dla rozwoju tej gałęzi sztuki u nas.

Przypadek, o wyniku tak szczęśliwym, podziałał zaraźliwie. Obecnie należy to już do tradycji, że studenci architektury parają się grafiką użytkową. Jest to niejako ich *„specialité de la maison“*. I chociaż oddają się tej pracy, by, przedewszystkiem, przysporzyć swej chudej kabzie grosza, lubią ten swój zawód poboczny, pracują z zamiłowaniem, ożywieni ambicją robienia rzeczy — w miarę możności — doskonałych. A trzeba dodać, są, w pewnym zakresie, samoukami. Wydział, na którym studjują, daje im wiedzę rysunku, ale grafiki, jako specjalnego przedmiotu, oczywiście w programie niema.

Taki stan rzeczy pozostaje nie bez wpływu na charakter uprawianej przez nich reklamy graficznej. Kształtuje się ona, nie jako rezultat nauki i ćwiczeń, przerabianych na kursie, gdzie uczeń mozolnie dopracowuje się własnej formy wypowiedzi, lecz musi powstać odrazu, dojrzała do roli jej przeznaczonej. Wizja plastyczna, hodowana w trybie tak przyśpieszonym i, trzeba przyznać, nieco sztucznie, staje się bardziej podatna wpływom postronnym.

Na terenie grafiki reklamowej słowo „moda“ ma większe usprawiedliwienie, niż gdzieindziej. Jej przypływy i odpływy znaczą się tu najwyraźniej i tłumaczyć je można potrzebą wynajdywania coraz to innych środków dla połechtania wrażliwości widza. Sposoby te przypominają modną piosenkę: podobają się wszystkim, bardzo prędko stają się popularne i jeszcze prędzej tracą nasze względy, ustępując miejsca nowym pupilom. Krótki żywot wynagradzają sobie przywilejem powszechności: nowe *trick*'i, pewne efekty techniczne wkrótce stają się własnością ogółu.

Ożywiony ruch w tej dziedzinie, wymiana pomysłów, czasopisma, odzwierciadlające wysoki poziom grafiki reklamowej Francji i Niemiec—wszystko to pozostało nie bez wpływu i na grafikę naszą. Najdobitniej może ten wpływ zaznacza się — z powodów już wyżej przytoczonych — w niektórych pracach słuchaczów architektury. W stosunkowo nieznacznym stopniu podlegają mu plakaty, wystawione obecnie w dolnych salach Zachęty, natomiast wiele rysuneczków, drobnych ulotek reklamowych, tam oglądanych, świadczy o dosłownem upijaniu się niektórych adeptów architektury rozmaitemi, zewsząd załapanemi „smaczkami". Młodzież artystyczna czasem zbytnią okazuje wrażliwość na efektowność podania samej rzeczy, przeceniając ją, na niekorzyść bardziej istotnych wartości: pomysłu, kompozycji i ujęcia.

Ze „smaczkami" nie trzeba utożsamiać precyzji wykonania i technicznej doskonałości, w grafice reklamowej nadzwyczaj ważnych i — trzeba przyznać — u naszych architektów zawsze na wysokim poziomie.

Do prac najlepszych na wystawie zaliczyć wypada plakat, wyobrażający narciarzy, zjeżdżających z góry, w świetlistej, śnieżnej kurzawie.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

FILHARMONJA. W piątek, 16-go marca grał Józef Szigeti koncert *d-dur* Beethovena. Powiedzenie, że było to odtworzenie klasyczne, wydaje mi się trafne. Rozumiemy dobrze treść tego słowa. Oznacza ono tradycyjny sposób ujęcia, który może u nikogo tak ściśle, jak u Beethovena, nie pokrywa się z tem, co najbardziej pragnęlibyśmy słyszeć. Jest ono chyba najbardziej prawdziwe ze wszystkich.

Szigeti należy do rzędu tych, którzy sztukę gry na skrzypcach doprowadzili do poziomu bardzo wysokiego. Pisałem, że „...jest on dalszym ciągiem tej świetnej o pewnym charakterze tradycji". Dlatego, chociaż nie lubię wirtuozji dla wirtuozji, z przyjemnością słuchałem kaprysów Paganiniego. Bo to nie był jedynie popis techniczny, a — legitymacja.

Program koncertu zawierał poemat Karłowicza „Stanisław i Anna Oświęcimowie". Gdy zastanowić się nad charakterem tego utworu, przychodzi na myśl pytanie, czy Karłowicz nie był zapowiedzią tej przeintelektualizowanej sztuki, czy nie był już nawet jej przejawem?

Muzyka współczesna, której stawiamy zarzut przeładowania pierwiastkiem intelektualnym, wywodzi się, chociażby nawet przeczyła, głosząc świadomie hasła sztuki absolutnej, z muzyki programowej. Ona to bowiem poczęła najpierw ilustrować, potem rozumować, przyczem w poszukiwaniu środków wyrazu sięgała do coraz to nowszych zagadnień natury formalnej, które następnie wypełniły wyłącznie treść wysiłku twórczego.

Jeżeli programowość Karłowicza szła właśnie po linji rozumowania, wnikania psychologicznego i rozwiązywania zagadnień ogólnych (np. kwestja wszechbytu, miłości i śmierci), to istnienie tego pierwiastka nie tylko nie da się zaprzeczyć, ale zdecydowanie wybija się na plan pierwszy. Ponieważ muzyka jego unika, jak słusznie zauważył prof. Chybiński, ilustrowania wrażeń zewnętrznych („Epizod na maskaradzie" będzie stanowił tu pewnego rodzaju wyjątek), może to nas wprowadzić w błąd i skierować do wysnucia mylnych wniosków. Trudno przewidzieć dalszy rozwój twórczości artysty, inteligencji chłonnej i silnej indywidualności.

Bo o ile sięganie do takiego tematu np. w „Oświecimach" wskazywało jednakże na czerpanie z panującej ówcześnie atmosfery, to z drugiej strony podkład liryczny dzieła o charakterze wybitnie psychologicznym, świadczy o czemś, co stało poza jego świadomemi wysiłkami pracy.

Natura Karłowicza nie miała potrzeby naginać się do idej, przeżyć i zagadnień czasu. Jego tak charakterystyczny i niewątpliwie szczery pessymizm mógł się swobodnie rozwijać w ówczesnej atmosferze.

Orkiestrę prowadził Tadeusz Mazurkiewicz.

*

W poniedziałek 11-go i w czwartek 15-go marca odbyły się koncerty jubileuszowe Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Pierwszy z nich poświęcony był ściślej Wyższej Szkole Muzycznej im. Chopina. Możnaby o tem wcale na łamach „Myśli", pisma poświęconego kulturze twórczości polskiej, nie pisać, tak swoją atmosferą, pracą i składem osobowym daleko odbiegła ta szkoła od tego, co jest naprawdę polskiem. Jeśli o tem wspominamy, to jedynie z tego powodu, że nie można pominąć milczeniem utraty takiej placówki sztuki narodowej, jaką była i być powinna Wyższa Szkoła Muzyczna imienia Chopina. Właśnie Chopina! Zanim będzie można w inny sposób zareagować na to wszystko, proponujemy, ażeby może nazwisko to zdjąć z szyldu uczelni, która przecież ma tak mało z niem wspólnego, co nawet zadokumentowała nieumieszczeniem w programach koncertów, składających się na całość uroczystości jubileuszowych, ani jednego jego utworu. Konsekwentne, szczere, czy też niechlujnie niedopatrzone?...

Jakież niesmaczne wrażenie robił chór śpiewający „*Gaude Mater Poloniae...*" *Gaude?* — Z czego? Albo pieśni o charakterze religijnym; proszę sobie wyobrazić gromadę nawróconych żydów!..

A przecież stosunek Chopina do nich był zupełnie niedwuznaczny. Huneker ten jego wyraźny wstręt uważa nawet za jeszcze jeden dowód jego polskości!

Dalecy jesteśmy od deklamowania i odmieniania na wszystkie przypadki wyrazów: żyd, żydostwo it.p.; nie dla jakiejś przyjemności (napewno) o tem pisujemy — jest przecież tyle innych, ciekawych i zajmujących tematów. Zresztą mówić jedynie na ten temat nie lubimy. Czasami jednak słowo jest też czynem, chociażby jako jego zapowiedź.

W. NARUSZ

FILM

ŚWIATOWID: „Sztuka życia", reż. Lubitsch.

Lubitsch, jak wiadomo, należy do bardzo zręcznych reżyserów. Jeśli chodzi o atmosferę moralną jego filmów, lubi również okazywać zręczność w balansowaniu na granicy przyzwoitości i świństewska. Człowiek dobrze wychowany — jego zdaniem — nie powinien się na nic oburzać, ani czemkolwiek gorszyć. Dla szerzenia takiego światopoglądu najlepsza jest komedja. W poważnej sztuce, facet, który komuś wyciągnie portfel z kieszeni, nazywa się złodziejem, w komedji — to tylko kawalarz.

Bohaterka „Sztuki życia" (Miriam Hopkins) ma dwu przyjaciół i trzeciego, który tymczasem się nie liczy. Mimo bratnio - przyjacielskich stosunków i pogodnej atmosfery odnosimy wrażenie, iż dla niej sztuką życia jest życie z każdym mężczyzną pokolei. Żyje z pierwszym, gdy wyjeżdża drugi; żyje z drugim, gdy wyjeżdża pierwszy, wkońcu wychodzi zamąż za trzeciego, by wrócić następnie do dwu pierwszych. Dalszych kombinacyj na szczęście nie było, bo film się skończył.

Lubitsch zrobił b. wiele, by film szedł wartko i zręcznie, a wzrokowo nie nużył, mimo wszystko jednak dowcip pozostał w djalogach, poza nawiasem wartości wizualnych filmu.

EUROPA: „A. L. 14 zatonęła", reż. Jack Conway.

Niewiadomo dlaczego, doniedawna jeszcze popularny w amerykańskich filmach *happy-end* stale wyrażał się przez te same czynności (pocałunek). Taki sam ruch, lub uczynek może przecież mieć w dwu wypadkach całkiem odmienne znaczenie, zależnie od okoliczności. W pewnym sensie i śmierć może być *happy-end*'em. Jest nim właśnie w tym filmie, gdy oficer marynarki, ginąc, ratuje swych towarzyszy od śmierci fizycznej, a siebie—od moralnej. Ta śmierć to odkupienie.

Ludzie tu się mordują, w pojedynku między łodzią podwodną i samolotem; triumf jednych staje się zarazem zgubą dla drugich. A więc żer dla pacyfistów, niechaj się zastanowią jednak, dlaczego ta właśnie atmosfera pozwala nam tu dojrzeć to, co jest najpiękniejsze w człowieku?

Pozatem ten tęgi i rzeźki film stwierdza raz jeszcze starą prawdę, że aktor dla reżysera filmowego jest materjałem wcale nie najważniejszym. Sceny walki, ruch i jego treść wizualna, płynące stąd napięcie emocjonalne—słowem te momenty, w których gra aktorów ustępuje placu wartościom innym, należą do najmocniejszych i najbardziej wyrazistych.

KANDYD

OFENSYWA

PROTEKTOR EINSTEINA

W *COHN*-SERWATYWNEJ grupie konserwatywnej partji w angielskiej macierzy parlamentów wysiaduje też ławki deputowany z Whitechapel (Nalewki nad Tamizą) niejaki Locker - Lampson, *comandor* Locker - Lampson.

Osoba jest całkiem śmieszna, nieco ordynarna, nieco wrzaskliwa, nieco nahalna, ale zato wilczo głodna reklamy w *news* i w *jews papers*. Jakiś czas służyła w wojsku, ale że z rasy notorycznych pacyfistów, więc podczas wojny przeszła do dyplomacji i pętała się w carskiej Rosji. Stąd „znawstwo" Wschodniej Europy.

Otóż ten to Locker-Lampson, coś z naszego Burdy a coś z Grünbauma, robi karjerę w brukowej prasie przez wygłupianie się na *meeting*'ach, a to w *Queens-Hall*, a to w *Albert-Hall*, zawsze w namiętnej i patetycznej obronie swoich elektorów z Wchitechapel, gdzie, jak wiadomo, żyd na żydzie siedzi i żydem pogania. Gdzie tylko dzieje się jakaś krzywda Stawiskim i Stawskim, Rotszyldom i Rojtszwancom, Kahanom czy Kapellnerom, Cohnom czy Kuhnom, tam zaraz wyskakuje poseł Locker - Lampson, i gada i krzyczy i zapluwa się i protestuje w imieniu ludzkości, sprawiedliwości, równości i t. p. Inne *Talmi - Torys* czy *Talmud - Torys*, oni mogą cicho siedzieć i nie wtrącać się, choć także nosili mundury; nie mieszać się, gdy chodzi o *jews* („obrona cywilizacji"). A on bredzi trzy po trzy, i pieni się, i ciska, aż to poprostu zaczyna być żenujące dla tych wszystkich Casselów, Cohenów, Montefiorych, Laskich, Samuelsów...; lady Violetta (*sic*) Melchett to ona podobno mówiła lady Sarze Sassoon, co ona wprost męki przechodzi, jak ten „warjat z Whitechapel" zabiera głos innym i drze się tak ordynarnie, jak zwykły jaki żyd z Berlina lub z Będzina...

Dzikie hece wyprawiał komandor dwa lata temu, kiedy w Polsce miały miejsce *the pogroms* żydów, a młode żydówki gwałcono na stosach, oblewanych naftą i spirytusem. Jeszcze dziksze atoli rok temu, gdy w Berlinie nastał Nabuhodonozor. Locker dostał formalnie takiego szału, że najbliżsi obawiali się, by nie zaczął gryźć otoczenia. Banitę Einsteina zaprosił wtedy do swojego *cottage*'u, obwoził go dzień w dzień po Londynie, tysiąc razy się fotografowali, a wreszcie posypały się mowy. I wtedy to wypsnęło się Locker-Lampsonowi na *meeting*'u w obronie Einsteinacha takie zdanko:

> „Wszak żydzi niemieccy byli tymi, którzy czynili najlepsze, co byli w stanie dla Niemiec, tymi, którzy dzień w dzień usiłowali pozyskać Anglję dla słusznego traktowania Niemiec. I oto ci obywatele Niemiec — najlepsi i najbardziej patrjotyczni — są obecnie wypędzani".

„Dzień w dzień usiłowali pozyskać Anglję dla słusznego traktowania Niemiec"... Można sobie wyobrazić, względnie przypomnieć, z jakim te wtedy dzikim entuzjazmem pisali o Locker-Lampsonie: Poliakow, Sokołow oraz i inne Litauery.

Jeszcze raz trafiła się Lockerowi gratka niedawno, gdy mógł asystować przy odsłonięciu popiersia „swego przyjaciela" Einsteina, dłuta „ucznia Rodina" Epsteina, i to w słynnej „*Tate - Galery*" wśród portretów najsławniejszych śmiertelnych!

Aż wreszcie i na posła z Whitechapel, po dniach triumfalnych, przyszedł dzień smętny, szary i nieprzyjemny. Dowiadujemy się o tem przypadkowo z korespondencji londyńskiej pani Drzewieckiej w „Kurjerze Porannym". Okazuje się, że natrętny kabotyn, wiecznie głodny reklamy, zgłosił się znów jako świadek w słynnym procesie księżnej Jussupowej (siostrzenicy Mikołaja II-go i obecnego króla angielskiego), wytoczonym firmie *Metro-Goldwyn* o filmowy paszkwil („Rasputin"), który to proces skończył się skazaniem Schylocków z Hollywood na 25.000 funtów odszkodowania za zniesławienie księżnej. Z korespondencji p. Drzewieckiej dowiadujemy się, jak tego arogancko - wścibskiego żydowskiego komandora, traktują w Londynie:

> „Zwłaszcza na p. Locker-Lampsona uwziął się wielki prawnik, sir Patrick Hastings, i drogą krzyżowych, zupełnie nieoczekiwanych pytań, miażdżył poprostu biednego członka parlamentu... Oto próbka:
>
> Sir Patrick Hastings: Pan, naturalnie, jest człowiekiem pracy?
>
> L.-L.: Tak.
>
> Sir Patrick: Czy pan jednakowoż znajduje czas na czytanie pism?
>
> L.-L.: Owszem.
>
> Sir Patrick: To znalazłby pan wszystko w pismach. Właściwie mówiąc, co pan ma wspólnego z daną sprawą? W jakim celu marnował pan swój czas na oglądanie tego filmu w biurach *Metro-Goldwyn*?
>
> L.-L.: Służyłem w Rosji. Jestem za sprawiedliwością i „*fair play*". Znałem osobiście nietylko Rasputina, ale i wszystkich innych, biorących udział w zabiciu go, np. Puryszkiewicza, który mi proponował, żebym ja zabił Rasputina.
>
> Sir Patrick: Pan chyba nie przyszedł tu po to, żeby nam to opowiedzieć, co?...
>
> L.-L.: Sądziłem, że to —
>
> Sir Patrick (przerywając mu): Odtąd będą o panu pisali w pismach więcej, aniżeli o panu, jako o członku Parlamentu... Wszyscy wyborcy pana będą czytali o panu, ale niech się pan zbyt daleko nie zapędza, dobrze?"...

Z takiego traktowania tego blagiera Lockera *coram publico* widzimy, jaką to „znakomitość" przez całe lata, jako przedstawiciela londyńskiego Olimpu, prezentowały nam w depeszach z Londynu różne Bauery i Litauery.

Jak też długo podrastająca nasza Elita będzie jeszcze edukowana w angielszczyźnie tylko przez takie... *nurses*, przez takie „bony" i gnwernantki prasowe wyzn. M.?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Zjechali do Warszawy delegaci towarzystw dziennikarskich z całej Polski na walne zebranie Związku. Zgromadzenie podzieliło się na dwa, zwalczające się obozy.

O co, o kogo walczyli dziennikarze polscy, potomkowie rycerzy Bolesława Chrobrego? Jeden obóz stał pod sztandarem Grossterna, drugi pod sztandarem Stieglitz - Wyżeł - Ściężyńskiego. Zwyciężył drugi z nich. Różnica musiała być bardzo subtelna, skoro po długich, homeryckich bojach jeden głos zadecydował o przewadze.

Dziennikarze polscy walczyli jak lwy, ale po rycersku, bo gdy otrąbiono zwycięstwo, oba obozy zgodnie przyjęły wybór oklaskami, pokonanemu zaś wodzowi, Grossternowi, złożyły hołd.

Trzeba przyznać, że sprytnie się urządzono, aranżując bój o *ambo*, jakby nie mogło być mowy o jakimś trzecim kandydacie pochodzenia polskiego. *Tertium non datur*, element mniejszości zapewnione miał zwycięstwo.

Kto zwyciężył? — pytają na mieście. — Nasz. — Kto to jest nasz? — Ten, co zwyciężył.

*

Na Akademji Imieninowej wołał b. minister kultury i sztuk pięknych p. Medard Downarowicz: „Na kolanach, na kolanach powinniśmy służyć Wodzowi"...

Nie chodzi nam o to, że p. Downarowicz mienił się i mieni się być socjalistą. Niech się mieni, jak chce. Ale przypomnieć warto, że nawet w Rosji carskiej, więc w klasycznym kraju serwilizmu, wybitny pisarz, pełniący ważne funkcje przy dworze, zdobył się był na godniejszy znacznie aforyzm: „Służyć lubię, wysługiwanie się przyprawia mnie o mdłości" („*służit' ljublju, wysłużiwatsia toszno*").

*

Na posiedzeniu Sejmu w dn. 13 marca, przemawiającemu przeciwko pełnomocnictwom prof. B. Winiarskiemu przerywał mowę ks. Janusz Radziwiłł. Zniecierpliwiony mówca przerwał swe wywody i dał księciu taką repr mendę:

— „Mości książę! Kiedy w poprzednim Sejmie widziałem go zasiadającego na ławach Bloku Bezpartyjnego, nie mogłem się oprzeć pewnemu porównaniu: narzucał się mej pamięci ów wspaniały Sienkiewiczowski, z „Ogniem i Mieczem", opis pobytu wojewody Kisiela wśród Siczy Zaporoskiej. Ale czy kto w tej Izbie może choćby na chwilę wyobrazić sobie, żeby wojewoda Kisiel był zdolny iść z barbarzyńcami w prysiudy?!

Salwa śmiechu na ławach opozycji odpowiedziała na to pytanie. Natomiast nie wiadomo było, kto miał bardziej niewyraźne miny: ks. Janusz czy Blok Bezpartyjny.

*

Podobno czytano gdzieś ogłoszenie takie:

Biuro porad prawnych „Car i sp."
Tu się wyrabiają, na poczekaniu, artykuły
[sanacyjne:
Tezy, hipotezy, syntezy
i do kulawych tez — protezy.
Warunki przystępne.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.